MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 42. WARSZAWA, 29 WRZEŚNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

MASKI

W POPRZEDNIM zeszycie „Myśli Narodowej" poseł St. Stroński bardzo jasno wyłożył, jakie skutki pociąga za sobą w polityce międzynarodowej dojście do władzy socjalistów. Przytoczył dość przykładów, bardzo żywo Polskę interesujących, z których wynika, że dyplomaci kroju socjalistycznego bawią się jak dzieci, gdy narodom chodzi o życie, igrają z dziejami narodów.

I ma zupełną słuszność.

Tym jednak, którzy przywykli myśleć, że polityka międzynarodowa jest czemś oderwanem od rzeczywistości bezpośredniej, należy uprzytomnić, że ludzie tego samego kroju robią dziś i politykę wewnętrzną, że obie te polityki są gałęziami tej samej teorji i praktyki życia, że zagraniczna organicznie jest związana z wewnętrzną. A dalej, że socjaliści w całym tym systemie dążeń i stanów powojennych są tylko narzędziem i nieraz tylko pretekstem.

Świat daje sobie wmawiać, że mu tak dzisiaj zależy na realizowaniu idej socjalistycznych i że przewaga dążeń demokratycznych w duchu radykalnym jest tak wielka, iż polityka musi być im powolna.

Wejrzenie w rzeczywistość przeczy takim tezom, w najlepszym razie każe przypuszczać, że zbytnio uogólniamy pojęcie socjalizmu właściwego. Cały zespół osobistości w Genewie czy Hadze i ich atmosfera—to mieszanina najróżnorodniejszych pierwiastków, ściąganych do wspólnego dążenia: jakby narodom obrzydzić dawne ideały samodzielnego bytowania, które nie gwarantują pokoju, jakby sfederować w jakiś sposób Europę, choćby pod czyjąś hegemonją, skoro są państwa, które nie dają sobie wyperswadować imperjalizmu. Wtedy byłby spokój, a ten jest potrzebny do robienia interesów.

Skoro duszą tej koncepcji jest wielki kapitał i chęć robienia interesów, to widocznie nie jest ona pochodzenia tylko socjalistycznego. Niewątpliwie akcenty socjalistyczne są i będą wybijane tendencyjnie: wszędzie całą siłą będzie się parło, żeby do rządów przychodzili socjaliści, bo przy ich pomocy cel będzie łatwiejszy do osiągnięcia; niemniej socjalizm sam jest tu nadużyty przez siły rozleglejsze i mądrzejsze. Socjalizmowi to schlebia, ale czy z czystem sumieniem może wziąć na siebie wszystko, co pod jego egidą w świecie już się dokonało? Przecież to jego najdalej posunięte ideały wcielone zostały w Rosji na ich rachunek. A czy socjaliści na tem dobrze wyszli?

Trudno może orjentować się w fizjognomji świata, ale przecież mamy pod ręką własne stosunki. Nasza gleba jest świeża i czas rzeźbi naszą twarz wyraziście. Zapewne ludzie, nadający minę Polsce dzisiejszej, pochodzą z kadrów socjalistycznych i wypowiadają się często w tym djalekcie—zwłaszcza w manjerach, psocą na sposób socjalistyczny, tęsknią do bojówek, ale w rezultacie ich linji nie charakteryzuje tyle socjalizm (choć jest stosowany), ile antymocarstwowy, nawet antynarodowy charakter dążeń. To jest rys bardzo wyraźny.

Ani p. Skrzyński, ani Zaleski, jeśli chodzi o naszą politykę zagraniczną, nie są socjalistami, a przecież są poetami lokarneńskimi. Nie są też socjalistami delegaci do Genewy; sześciu tam żydów—to rys bardziej zasadniczy.

Socjalizm w Polsce się przeżył: nie widać go jako ruchu ideowego; wśród młodzieży inteligentnej nie ma on już zwolenników; stronnictwo tej barwy traci wpływy; nawet rząd, tak zdawało się mu bliski, lekceważy je. Więc skądże pochodzi socjalistyczna barwa życia publicznego? Stąd, że socjalizm pożarła masonerja i ciągnie z niego zatrute soki dla siebie, używa jego sztandaru dla celów swoich, robiąc z niego użytek jednostronny, mianowicie polityczny zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak wewnętrznych.

Masonerja przejęła od socjalistów nie cele, lecz niektóre środki, których umiejętne zastosowanie mści się teraz na samych socjalistach. Do takich środków należy demagogja i demoralizacja wywrotowa.

Z demagogji, wmawiającej ogółowi, że wszyscy są równi i wszyscy kwalifikowani do rządzenia społeczeństwem, uczyniono system powszechnego ogłupienia. Masonerja nie miała przed sobą innej drogi, bo konspirując swoje plany, aby je przeprowadzić podstępnie w drodze oszustwa, musiała sobie to ułatwić przez obniżenie poziomu umysłowego społeczeństwa. Roman Dmowski w swej ostatniej pracy (jeszcze nieskończonej) „Na granicy dwóch wieków" bardzo plastycznie przedstawia, w jaki sposób masonerja pracowała już od XVIII wieku nad wykolejeniem myśli i formułuje prawo takie:

„Gdy na umysły mniej więcej inteligentne zdobywa wpływ wybitnie tępe indywiduum, gdy w niezupełnie głupiem środowisku szerzy się nagle myśl zupełnie głupia, gdy ludzie raczej uczciwi zapalają się do tego, co jest w gruncie rzeczy nikczemne, możemy być pewni, że zawsze za kulisami tego widowiska znajdziemy tajną organizację" *).

Po czem można to poznać? Po solidarności z jaką sławią byle głupstwo, w celu oszustwa w masy rzucone, po solidarności, z jaką osłaniają każdą nikczemność popełnioną ludzie i grupy z różnych sfer, z różnych poziomów kultury.

Masonerja zdemaskowała się przez to, że zagrała po wojnie na gatunku, który rokował wielkie szanse popularności, a który okazał się karykaturalnie niski pod względem umysłowym i etycznym. Przerachowano się w efekcie, obliczając rzecz na krótki dystans. Dłuższej próby gatunek ten nie wytrzymał.

Rządzenie nawet takim małym krajem jak Litwa jest rzeczą skomplikowaną, wymaga tęgich głów i bohaterskich charakterów, umiejętnego wydobycia z narodu maksymalnych wartości moralnych i cywilizacyjnych. Nie pomogą efekty doraźne, gdy przychodzi okres celowej i mozolnej pracy i gdy się okażą rzeczy tak śmieszne, że z ludźmi np., którzy umieli finansować swoje plany tylko przy pomocy rozbijania kas publicznych, wypadnie rozmawiać o budżecie, dostosowanym do wyników pracy społeczeństwa, albo o praworządności — z ludźmi, którzy walczą z prawem, albo o ustroju państwa cywilizowanego —z wywrotowcami.

Otóż po tem można poznać za kulisami tajną organizację, że w takich wypadkach pod naciskiem jakiegoś autorytetu sytuacja traktowana jest serjo, nikt się nie śmieje, a najbardziej odmiennych barw jednostki i grupy przed nią przyklękują solidarnie.

W polityce międzynarodowej za miarę obecnego kursu politycznego można brać fakt zabiegania mocarstw o uśmiech niemiecki, i dążenia do tego, żeby darować Niemcom winę wojny. Ale w polityce wewnętrznej mamy do czynienia z podobnemi faktami. Sędzia np. zapytuje oskarżonego o kradzież, czy był karany. Okazuje się, że za morderstwo ma wyrok na dożywotnie więzienie. Jakto — więc czemuż on nie w więzieniu?

— Ja — powiada zbrodniarz — jestem w więzieniu, ale teraz korzystam... z urlopu wypoczynkowego.

Autentyczne. To też sądy w niektórych krajach wydają się już dzisiaj instytucją anachroniczną. A sprawia to anarchja pojęć o moralności, prawie i państwie, nad której szerzeniem dobrze ktoś czuwa.

Gdyby tajna organizacja nie miała żadnego innego zadania, tylko to jedno płynące z hasła: **otaczajcie szacunkiem głupstwo i zbrodnię,** to świat — nie ostrzeżony w porę — znalazłby się w obliczu katastrofy, jakiej nie zdolna byłaby mu zgotować najszkodliwsza utopja w rodzaju socjalistycznej, jawnie głoszona. Na tą drogę wepchnęła świat masonerja.

Jest ona dzisiaj unieszkodliwiona przez to, że świat się spostrzegł. Sposoby obrony prawdy w życiu są różne. Italja potrafiła z tej obrony zrobić zadanie państwa. Państwo, biorące na siebie walkę z filokserą, tembardziej powołane jest do obrony winnicy Pańskiej, jaką jest społeczeństwo ze swoim żywotem dziejowym. Ale gdy i państwa dotknięte są filokserą, winnice same wiele mogą dokonać ku swej obronie.

Przyjdzie też niedługo czas uzdrowienia.

ZYGMUNT WASILEWSKI

*) „Gazeta Warszawska" 1928, Nr. 287.

RÓŻNICE

ILEŻ to razy snuły się w głowach, w mowach, w pismach, zestawienia i porównywania faszyzmu Italji z obecnemi rządami w Polsce. Prawdę mówiąc, obecnie już coraz rzadziej poważa się ktokolwiek porównywać. Różnice między przewagą twórczości tam a przewagą jałowości tutaj są zbyt widoczne.

Ostatnia mowa Mussolini'ego, wygłoszona w Rzymie d. 14 b. m. do przedstawicieli władz stronnictwa faszystowskiego, obok obfitej i zwartej treści, poświęconej oświetleniu ogromnej pracy dokonywanej w kraju, zawiera niektóre rysy bardzo zajmujące właśnie dla uzmysłowienia... różnic.

Więc naprzód, przedstawiając ostatnią, z przed kilku dni, wielką przebudowę rządu, polegającą na mianowaniu podsekretarzy stanu w ministerstwach, w których sam Mussolini był ministrem, odpowiedzialnymi już ministrami, mówi on:

— Mówiono, że podsekretarze stanu mają już do końca życia pozostać podsekretarzami, a oto obecnie, po niezbędnym okresie przyuczenia się (*dopo l'indispensabile periodo di tirocinio*) przechodzą oni na pierwszy stopień odpowiedzialności w Rządzie.

Aha, więc tam to tak jest! Trzeba się przyuczać, aby dojrzeć do pierwszego stopnia odpowiedzialności w Rządzie. I to w dodatku przez lata całe, bo przecież Mussolini dopiero w siódmym roku faszyzmu szereg ministerstw powierza samodzielnie ludziom, którzy przez lata zaprawiali się jako podsekretarze stanu czy to p. Dino Grandi w sprawach zagranicznych, czy to p. Bianchi w robotach publicznych, czy to p. Bottai w korporacjach i t. d.

Jakże inaczej u nas! Wszakże jedną z właściwości rządów obecnych stało się powoływanie na stanowiska ministrów osób, których dotychczasowe zajęcia poprostu nie pozwalały przewidywać, że o danym dziale pracy mogą wogóle mieć jakieś pojęcie, boć ministrami ważnych działów gospodarczo-społecznych zostają pułkownicy i wytwarza się nawet nazwa rządu pułkowników. A tak samo jest na innych naczelnych stanowiskach w kraju, czy bankowych, czy wojewódzkich, czy samorządowych.

Oto dwa biegunowo różne sposoby powierzania odpowiedzialnych stanowisk państwowych. Tam po nauce, tu bez nauki. Prawdopodobnie dlatego tam umieją, a tu niezawsze umieją. Trzeba chłodno zapytać się, czy tamten sposób nie musi być lepszy.

Druga zajmująca uwaga, bezpśrednio tycząca się zarządu państwowego, jest taka:

— Ze sprawozdań prefektów jestem zdowolony wogóle, a także w szczególności dlatego, że stwierdziłem, iż znalazły zrozumienie moje wskazówki, że zawsze trzeba mówić mi prawdę, szczególnie, gdy jest niemiła *(sopratutto quando è spiacevole)*, bo przez zamilczanie przeszkadza się zapobieganiu wczas.

U nas jest inaczej. Najlepszym urzędnikiem na wysokiem, czy średniem, czy małem stanowisku jest taki, który najczęściej i najgłośniej ryczy: niech żyje! Ci, którzy są zatroskani, którym nie wszystko się podoba, którzy chcieliby zwrócić uwagę na niewłaściwości i złe wrażenie wśród ludności, są poprostu niemili, niepożądani, niepewni, jak się odrazu mówi, „państwowo" i idą w odstawkę dziesiątkami, setkami, tysiącami, w zarządzie politycznym, w szkolnictwie, na placówkach gospodarczych, nawet w sądownictwie, a najgęściej w wojsku. Nie prawdę trzeba mówić, nie to, co się widzi, co się myśli, co się uważa za dobre, ale podmalowywać przyjemnie, usłużnie, pokornie. Wytwarza się olbrzymia szkoła służalczości, która jest w budowie państwa straszliwą trucizną, znaną jako przyczyna zguby z niejednego już państwa.

Dalsze z kolei, a ciągle w tym samym zakresie, jest stwierdzenie:

— Lecz czyż może tak jest, że podział na faszystów i niefaszystów oznacza dla pierwszych stały stan uprzywilejowania? Żadną miarą. Faszyści, wierni naszym zasadom, nie chcą poszukiwać przywilejów (*non vogliono chiedere privilegi)*, a czują się uprzywilejowani jedynie o tyle, że mają obowiązek być najlepszymi obywatelami, najbardziej uposażonymi w zmysł odpowiedzialności i obowiązku, pierwszymi, gdy chodzi o pracę, o karność, o poświęcenie.

Oto dosłowna odwrotność głośno i buńczucznie wyznawanej i uprawianej u nas zasady „pierwszej brygady" i nawet „czwartej brygady". Niema tam tego hasła: nam się należą rządy i stanowiska, bo to myśmy Polskę wywalczyli, przyczem to skupienie zasługi odbudowania państwa na swoim zastępie jest jednem z najśmielszych i najbezwstydniejszych oszustw, jakie kiedykolwiek widziano. Niema tam tej potwornej zasady patrjotyzmu z odszkodowaniem, którą tak słusznie wytknął płk. Arciszewski w doskonałej mowie na ostatnim zjeździe błękitnego wojska w Poznaniu, mówiąc o patrjotyzmie bez odszkodowania. Nikt oczywiście naiwnie sądzić nie będzie, że w Italji niema objawów samolubstwa wśród zwolenników faszyzmu, ale jest rzeczą pewną, że faszyzm jako kierunek duchowy i myślowy tępi takie dążności, nie tak jak u nas, gdzie zasada „pierwszej brygady" jest głośno wyznawana i uwzględniana, co świadczy o pomieszaniu pojęć, niszczącem podstawy życia państwowego, a często i samo życie, wskutek nieudolności uprzywilejowanych.

Zajmujący jest też taki rys:

— Zastępy antyfaszystowskie usiłowały wprowadzić na widownię kwestję moralną (*la questione morale*). W r. 1924 kwestją moralną było to, że ludzi faszyzmu przedstawiało się jako zbrodniarzy, a w r. 1929 przedstawia się ich jako nieuczciwych. Jakiś jeden wypadek przenosi się na wszystkich.

Dalekość obozu rządzącego w Polsce od obozu faszystowskiego w Italji potwierdzona jest i tem także, że u nas nie przeciw temu obozowi użyto tego hasła, ale on właśnie wypłynął na znanem i jedynem haśle przeciw „nieprawości". Okazało się niebawem, że łatwiej jest oszczerstwami, któremi szafowano hojnie, odsądzać ludzi od czci i wiary, niż to uzasadnić. Ale przedewszystkiem okazało się, że ci, którzy wypłynęli pod sztandarem walki z nieprawością, następnie dali krajowi widowisko bezkarnych gwałtów, które są i pozostaną zjawiskami ponuremi, oraz spraw pieniężnych w zakresie budżetu państwowego, jak słynne ośm miljonów w czasie wyborów, dla których niema miejsca w obrębie prawości.

Mowa Musolini'ego była przedewszystkiem wyliczeniem prac dokonanych przez rządy faszystowskie. Mówił zatem o rozpoczętem dziele uzdrowienia moczarów i nieużytków łącznie na przestrzeni 1 miljona 600 tys. ha., o budowie dróg i wodociągów, o zniesieniu od czerwca 1930-go r. ustaw mieszkaniowych ograniczających i o ruchu budowlanym, o przebudowie rządu, o rozpowszechnieniu stronnictwa faszystowskiego, które dnia 1-go września 1929 liczy 1.020.000 członków, 93.495 członkiń, wychowanków wśród młodzieży 85.949, wśród dziatwy 560.251, uczniów szkół wyższych 25.440, nauczycieli pomocniczych 2.212, o wzroście uznania zagranicą. I przypomniał, że Napoleon ocenił swoje dzieło w słynnym pamiętniku dokonanemi pracami i wyliczał drogi z Antwerpji do Amsterdamu, z Moguncji do Metzu, z Bordeaux do Bajony, przejścia górskie zbudowane na Simplonie, na Mont-Cenis, Mont-Genèvre, La Corniche, które otwierają Alpy na cztery strony świata, trzy mosty w Paryżu, w Sèvres, w Rouen, w Ljonie, w Tours, na Izerze, wodociągi paryskie, porty i doki w Antwerpji, Dunkierce, Hawrze, Nizzy, roboty w Cherbourg, i w Wenecji, odbudowanie kościołów, zniszczonych przez rewolucję, Kodeks Napoleona, jako dzieła, które przetrwają i będą mówiły o swym twórcy. A powiedziawszy to, dodał Mussolini:

— Bardzo się strzeżemy przed czynieniem zestawień, które byłyby niedorzeczne (*noi ci guardiamo bene dallo stabilire confronti che sarebbero assurdi*), a chcemy tylko powiedzieć, że na gruncie rzeczywistości włoskiej siedem zaledwie lat rządów faszystowskich niemniej szeroko i głęboko sięgło pracami.

W taki sposób zestawienie z Napoleonem, które jest tylko pełnem podziwu powołaniem się na wzór przezeń dany pracy państwowej, brzmi w ustach Mussolini'ego i w dzisiejszej Italji.

A wreszcie powiada Mussolini w istotnie podniosłem, ale i pełnem wielkiej treści zakończeniu swej mowy:

— Nietylko rządy nasze trwają, ale uwaga świata wobec naszego przewrotu, zamiast zmniejszać się, wzrasta... A wzrasta, bo my jesteśmy przodownikami systemu polityczno-społecznego, dostosowanego do konieczności nowoczesnych, tak, że siłą rzeczy będzie on musiał przyjąć się i w innych krajach... Pierwsi wykazaliśmy niedorzeczność walki klas... Pierwsi podnieśliśmy wyżej ideę Państwa, a zdetronizowaliśmy t. zw. politykę samą w sobie, t. j. politykę stronnictw... Wykazaliśmy, przeciw demo-liberalnej nauce o prawach jednostki, że jednostka istnieje tylko w obrębie państwa... Wykazaliśmy, że wolność jednostki, o jakiej mówią demokracje, jest czczą złudą, podawaną co pewien czas naiwnym... Zamiast haseł r. 1789 o wolności, równości, braterstwie, już powstaje przekonanie, że faszyzm nietylko jest hasłem, ale rzeczywistością innego trójmianu: władza, ład, sprawiedliwość (*autorità, or-*

dine, giustizia)... Faszyzm jest jedyną rzeczą nową, którą pierwsze trzy dziesiątki lat tego stulecia widziały na polu polityczno-społecznem...

Trzeba przejść zdanie za zdaniem tych twierdzeń prawdziwych o Italji dzisiejszej i zawsze zapytać, jak jest w tym względzie w Polsce dzisiejszej: czy nasz przewrót urzeczywistnił trój-hasło władzy, ładu i sprawiedliwości, czy stworzył coś, coby było nowem dla świata współczesnego, czy zagranica patrzy na to, co się u nas dzieje, z wzrastającem zajęciem?

I tak zrozumie się różnicę. Nie w nazwie faszyzmu rzecz i nie w próbach przenoszenia go na grunt niepodatny tylko pozorami naśladowczemi pod innemi nazwami. Lecz w tem rzecz, że w dzisiejszej Italji tworzy się, zespala, podnosi, a nie burzy się, rozstraja, obniża, jak w Polsce niestety w przeważnej części tego, co się dzieje, a co właśnie dlatego tak razi, że niema równoczesnej wielkiej twórczości. Zamiast łudzić się i uspokajać rzekomemi podobieństwami, lepiej będzie trzeźwo widzieć niepomyślną dla nas różnicę.

STANISŁAW STROŃSKI

MYŚL POLITYCZNA J. L. POPŁAWSKIEGO. IV.

O ROZWIĄZANIU SPRAWY ŻYDOWSKIEJ W POLSCE

POPŁAWSKI nie zostawił szczegółowego programu rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce.[1]) W życiu polskiem, współczesnem Popławskiemu, nie dojrzały jeszcze bowiem warunki, szczególniej międzynarodowe, umożliwiające żydom, jako całości, odkrycie kart w sprawach Polski; w szczególności nie mieliśmy jeszcze tak agresywnego, przemyślanego, konsekwentnego i zdecydowanie wrogiego działania żydów, jako całości, przeciw Polsce, jak po wielkiej wojnie, a Popławski — mimo wszelkie skłonności osobiste do uprawiania myślenia oderwanego — musiał być przedewszystkiem działaczem praktycznym, nie mającym czasu, wobec niewielkiej liczby pracowników narodowych, a ogromu pracy bieżącej, na teoretyczne opracowywanie programu działań, jeszcze nie narzuconych przez życie.

Nie napróżno jednak był to umysł kierowniczy, to też rozrzucone po artykułach myśli Popławskiego— dają tyle materjału, że ujęte w całość — mogą i dziś służyć za punkt wyjścia do dyskusji, którą wielki obywatel pragnął wywołać w sprawie żydowskiej dwadzieścia pięć lat temu.

Myśląc o sprawie żydowskiej, Popławski pamięta, że stanowi ona ważne zagadnienie nietylko dla Polski, ale i dla całej zachodniej Europy, gdzie właśnie żydzi doszli „do niesłychanej, stosunkowo znacznie większej potęgi, niż w drugiej połowie wieków średnich", opanowując — po drodze do głównego celu — „trzy najgłówniejsze czynniki potęgi: kapitał, prasę i wpływy polityczne".

Gdy chodzi o stosunki polskie, Popławski ocenia należycie tę potęgę i dlatego, że wie, w jak ścisłym związku politycznym z żydami zagranicznymi znajdują się żydzi polscy. Ten związek wysoko postawionych w hierarchji społecznej Ameryki i Europy światowych bankierów żydowskich z barbarzyńskiemi masami żydowstwa w krajach ku wschodowi Europy [2]) musiał być wielką siłą żydowstwa w Polsce — rozumował Popławski — skoro wpływom światowych kapitałów żydowskich uległ nawet rząd rosyjski, który, nie mogąc „zaciągnąć pożyczki bez udziału w niej finansistów żydowskich..: pragnie ich sobie zjednać..." zamiarem „zniesienia w Rosji wyjątkowego stanu żydów"; żydowscy finansiści bowiem „postawili przy układach, jako warunek, że ograniczenia i prawa wyjątkowe, krępujące ich współwyznawców w Rosji, będą usunięte lub bardzo złagodzone..." [3]).

Popławski sprawę żydowską przemyślał gruntownie choćby przy sposobności opisu Polski, jaki dał w większej rozprawie p. t. „Polska współczesna". Przedstawiając stosunki narodowościowe w Polsce, dość miejsca i uwag poświęca i żydom. „Poważną grupę ludności ziem polskich"— mówi on —„stanowią żydzi. Różnią się oni pochodzeniem, obyczajami, religją, nawet mową od reszty ludności, ale nie zajmują oddzielnego terytorjum. Procent ludności żydowskiej, mieszkającej głównie w miastach, nieznaczny w ziemiach zaboru pruskiego, rośnie w miarę posuwania się ku wschodowi".

Ta ogólnikowa wzmianka o żydach może być rozwinięta innemi uwagami Popławskiego.

Co jest iście żydowskie? — moglibyśmy spytać, i otrzymamy kapitalną odpowiedź Popławskiego: „Reklama, nieprzebieranie w środkach, bezczelność i krzykliwość..." A obok tego samouwielbienie. Bohater „Lalki" Prusa, dr. Szuman wie, że żydzi „są to parchy i szubrawcy" ale obok tego wierzy szczerze w ich genjalność i przyszłe triumfy, zdobyte nawet nie rozumem, tylko „szachrajstwem i bezczelnością". „Genjalna rasa, ale cóż to za łajdaki, te żydki!.. — mówi o nich wielki i świadomy patrjota żydowski, Szuman..."—powiada Popławski. Ta śmieszna megalomanja idzie w parze z brakiem poczucia własnej godności. „Żydzi w ciągu wiekowych prześladowań wyrobili sobie specjalną psychologję przystosowywania się do warunków. Idą oni zawsze z tymi, którzy reprezentują władzę i siłę..."— mówi Popławski i daje przykłady tego, zarówno z życia zaboru austrjackiego i pruskiego, gdzie żydzi uważali się za Niemców, gdy polskość była przez zaborców szczególnie bezwzględnie gnębiona, jak z życia rosyjskiego, gdzie żydzi byli awangardą rusyfikacji kraju, mimo ucisku ich samych przez rząd rosyjski, zaś „asymilacyjnej" sympatji i współczucia, okazywanego im przez społeczeństwo polskie, nie tylko nie znające żydów, jak tylu innych dziedzin własnej rzeczywistości, ale przypisujące im dodatnie wpływy w Polsce.

Popławski zdecydowanie występuje przeciw tym niebezpiecznym iluzjom. „Właściwości i zasady sekty żydowskiej"—oświadcza kategorycznie — „są dla umysłowości naszej szkodliwe, etyce naszej — wstrętne, ideałom naszym społecznym — wrogie", a z tego okreś-

[1]) Patrz. Nr. 39, 40 i 41 „Myśli Narodowej" z r. b.

[2]) „Sceptyk, dr. Szuman" — powiada Popławski, — „ma wiarę w swoją rasę, do której miłość budzi się w nim po dwudziestu latach rozłączenia..." Dodajmy, że „rozłączony" z żydowstwem Szuman uważał się za patrjotę polskiego i nie skąpił rad i nagan Polakom, „nierozłączonym" ze swoim narodem.

[3]) Zdawanie sobie sprawy z istotnej potęgi żydów i z małej możności obrony skrępowanej przez rząd rosyjski ludności polskiej — powoduje taki charakterystyczny szczegół, że Popł., mówiąc o „rozwiązaniu" sprawy żydowskiej, zaraz dodaje, że „właściwie" nie o rozwiązaniu, a o „złagodzeniu" jej tylko mówić w tych okolicznościach należy.

lenia może płynąć tylko jedno stanowisko wobec działalności żydów w Polsce. Jest ona „szkodliwa", bez ogródek rozstrzyga Popławski, a możemy dodać za nim, że nawet i w takiej i tak, zdawałyby się, dalekiej od możności ulegania wpływom żydowskim — dziedzinie, jak sfera języka polskiego. „U nas" — mówi Popławski — „wpływ żydów wyraźnie się zaznaczył pod tym względem, że nasz język książkowy nie posiada żadnych specjalnych znamion fonetycznych, coraz bardziej zaciera istniejące lub nawet przybiera obce".

Jako cechę dodatnią żydów wskazuje Popławski silną więź rasową wszechżydostwa, co się na przykładzie pożyczki rosyjskiej silnie uwydatniło, ale i ta cecha groźbę i niebezpieczeństwo dla nas zawiera.

O żydach w zaborze pruskim mówi Popławski nieduzo, że obserwuje się tam proces naturalny i konieczny, a mianowicie, bardzo liczną emigracją żydów w miarę „rozwoju kulturalnego i ekonomicznego kraju".

Podobne stosunki, jeno jeszcze niedość posunięte w rozwoju, widzi Popławski w Galicji, gdzie „żydzi... w miarę wzrostu siły polskiej w kraju".. nie tyle emigrują, ile „polonizują się powoli" co dlatego jest ciekawe że „do niedawna (póki tego wzrostu siły polskiej nie było) żydzi galicyjscy, zwłaszcza we wschodniej części kraju" — mówi Popławski — „przyznawali się przeważnie do narodowości niemieckiej".

Polonizowanie się żydów galicyjskich jest dla Popławskiego zresztą tylko „politycznem", a wyrażało się w tem, że „przy wyborach do Sejmu i parlamentu w Wiedniu" żydzi głosowali zawsze na kandydatów polskich. Był to ze strony żydów krok niewątpliwie „polityczny" bo: 1) uniknęli w ten sposób losu swoich współplemieńców w zaborze pruskim, gdzie ludność poszła za „wskazaniami polityki narodowej" polskiej i żydów, ponieważ opowiedzieli się za Niemcami „bezwzględnie zaczęła zwalczać i skutecznie wypierać", 2) uzyskali wolność wpływania jako „Polacy" na stosunki wewnętrzne polskie, które byłyby dla nich zamknięte, gdyby pozostali nadal „Niemcami". [4])

Przy tej sposobności należy wskazać, że Popławski pojmował należycie rolę socjalizmu polskiego, właśnie jako czynnika, wychowanego w „postępowym" duchu ideałów żydowskich, zawartych w doktrynie Marxa; czynnika wyzutego wskutek tego z właściwości chrześcijańskich i narodowych, mniej przeto wstrętnego dla żydów od integralnego ruchu narodowego i katolickiego, do którego musieliby się niestety, gdyby nie było socjalizmu, „politycznie" włączyć; socjalizm tedy umożliwił żydom i ułatwił im polityczne przenikanie wgłąb społeczeństwa polskiego. „Żydzi" — mówi Popławski — „biorą udział w partji socjalistycznej polskiej", która „nietylko wpływom ich ulega, ale z ich poglądami, uczuciami i wymaganiami liczyć się musi". [5]) W Galicji zwłaszcza jest to aż nadto widoczne i tak przykre, że nawet u socjalistów ujawniać się zaczyna słaby zresztą prąd antysemicki"... „Przyjąwszy zasadę, którą socjaliści zalecają, trzebaby się zgodzić na równouprawnienie żydów"... mówi Popławski gdzieindziej o pomocy, jaką okazują socjaliści żydom w ich dążeniach do uzyskania tych praw, które przysługiwać mogą tylko gospodarzom kraju, Polakom.

Najwięcej uwag poświęca b. zaborowi rosyjskiemu, posiadającemu największe w Polsce skupienie żydów, bo aż „4½ miljona", co wytworzyło opłakane stosunki społeczne i ekonomiczne, zarówno dla ludności chrześcijańskiej jak i żydowskiej. Skupienie to wytwarzał umyślnie rząd rosyjski, ale o ile ludność chrześcijańska polska nigdy nie przestawała, walcząc z rządem zaborczym, odnosić się do ludności żydowskiej, narzuconej sobie, albo obojętnie naogół, albo też wprost przychylnie, żydzi zgodnie ze swą psychologją rasową uznali chwilową siłą i władzę rządu moskiewskiego za czynnik decydujący i ustosunkowali się do Polski wrogo.

Część żydów w b. Królestwie zalicza Popławski „pod względem politycznym" do narodowości polskiej, (wpływy asymilacji) ale „pozostali ciążą raczej ku narodowości rosyjskiej" przyczem „w kraju zabranym rząd posługuje się żydami, jako żywiołem rusyfikacyjnym. Rusyfikacja, choćby tylko zewnętrzna ziem zabranych, zwłaszcza Litwy, wobec słabości liczebnej żywiołu rosyjskiego, byłaby niemożliwą bez udziału żydów. Rząd rosyjski poznał doskonale psychologję ludności żydowskiej i doskonale ją wyzyskał... Nawet radykali i rewocjonaliści żydowscy w kraju zabranym, a raczej oni przedewszystkiem — są zawziętymi rusyfikatorami. Oni sprawiają, że moskiewszczyzna rozbrzmiewa głośno na ulicach Wilna, Kowna, Mińska, nawet poniekąd Kijowa, i przygłusza język polski i języki miejscowe". [6]) Na Litwie „nawet ze względów politycznych żydzi nie uważają za potrzebne liczyć się z Polakami".

Nadmiar ludności żydowskiej w b. Królestwie trwoży Popławskiego, analizuje on tedy szczegółowo to zjawisko. Widzi dwie przyczyny tego zalewu Polski żydami. Pierwszą spostrzega w specjalnych warunkach handlowo-geograficznych b. Królestwa, które jest „krajem przejściowym i pośredniczącym w rosnącej z każdym rokiem wymianie handlowej między wschodem i zachodem, jakby olbrzymią stacją tranzytową, której punkt główny stanowi Warszawa. Dziś się to dopiero zarysowuje" — mówi, genjalnem okiem patrząc w przyszłość, Popławski — „ale rozwój ekonomiczny Królestwa, a zwłaszcza Warszawy, idzie niewątpliwie w tym kierunku"...

Gdy się jednocześnie weźmie pod uwagę, że „cała ich (czyli żydów) tradycyjna organizacja, społeczna i ekonomiczna, jest specjalnie przystosowana do zajmowania się pośrednictwem handlowem", to wskazana powyżej właściwość b. Królestwa sprawia, że w „kraju takim" żydzi „znajdują najodpowiedniejsze dla siebie warunki... i im szybciej życie ekonomiczne Królestwa rozwijać się będzie we wskazanym kierunku, tem wydatniejszym do pewnego czasu będzie w niem udział żydów", ze wszystkiemi skutkami takiego najazdu i zgarniania zysków, które uzbrajają żydów w pieniądz, t. j. w najpotężniejszą po wszystkie czasy broń ich przeciw nieżydom.

Drugą przyczynę zażydzenia zaboru rosyjskiego widzi Popławski w polityce rządu rosyjskiego, który, przeprowadziwszy słynną linję osiadłości dla żydów, wepchnął ich z całej Rosji i skupił na terytorjum, odpowiadającem mniej więcej granicom dawnej Rzeczpospolitej Polskiej. W innych prowincjach państwa rosyjskiego żydom, z nielicznemi, ściśle określonem

---

[4]) Popł. przyjmuje obok wybitnych wpływów politycznych i niejakie kulturalne wspominając np., że w „miarę rozwoju szkolnictwa, język polski zaczął się rozszerzać między żydami."

[5]) „Liczyć się musi", choćby dlatego poprostu, że jak wyjaśnia Popł. „znaczną część wyborców socjalistycznych stanowią żydzi, poczynając od bogatych kapitalistów żydowskich, wśród których znajdują się i notoryczni lichwiarze, a kończąc na ciemnych chałaciarzach"...

[6]) Pisane w r. 1904; tak samo charakteryzuje żydów Popł. w swej „Polsce współczesnej": „Na Litwie" — mówi on — „zapełniają żydzi zawody liberalne. Język polski... znają... z konieczności, chociaż po powstaniu w 1863 r. wrogo zaczęli występować przeciw Polakom i popierać rusyfikację Litwy, chcąc sobie w ten sposób zjednać względy rządu".

wyjątkami, mieszkać nie było wolno, a nawet „czasowe ich tam przebywanie było utrudnione". Cele tej linji osiadłości dla żydów widzi Popławski w dążeniu rządu rosyjskiego do posłużenia się żydami dla osłabienia i związania Polski w jej poczynaniach przeciw Rosji. Osiągał te cele rząd przez wytworzenie w Polsce, z powodu zalewu żydowskiego, opłakanych stosunków społecznych i ekonomicznych i przez wytworzenie i zaostrzenie istniejących przeciwieństw politycznych między Polakami i żydami, a szczególniej przez posłużenie się żydami jako żywiołem rusyfikacyjnym.

„Istnienie linji osiadłości" — mówi Popławski — „sprawia, że żywioł żydowski, pomimo licznej, bo w niektórych latach wynoszącej 50,000 głów emigracji, wzrasta nietylko absolutnie, ale i procentowo w stosunku do ludności chrześcijańskiej w Królestwie i w kraju zabranym. Nigdzie niema takiego procentu żydów, jaki widzimy w ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Podczas gdy w Poznańskiem liczba ludności żydowskiej wynosi zaledwie 2% ogółu mieszkańców, zaś na Górnym Śląsku i w Prusach Zachodnich ledwie 1.5%; podczas gdy w Galicji procent ludności żydowskiej, wynoszącej około 11% zmniejszył się trochę w ostatniem dziesięcioleciu, Królestwo ma około 14%, tyleż Wołyń, Podole i Ukraina, a Litwa i Białoruś więcej niż 15%. We wschodnio-północnych gubernjach Królestwa i niektórych litewsko-białoruskich cyfra ludności żydowskiej wynosi od 18% do 20%".

Te różnorakie dla każdego zaboru warunki sprawiają—mówi Popławski—że sprawa żydowska w Polsce, jak „każda sprawa bardzo skomplikowana", musi być rozwiązywana w każdej dzielnicy odmiennie, zależnie „od różnorodności form i objawów", a przedewszystkiem nie przewiduje Popławski, aby walka o Polskę z żydami mogła trwać krótko. „Skupienie żydów na terytorjum polskiem"—mówi on—„trwa od stu lat zgórą i, jeżeli nie stu, to kilkudziesięciu lat będzie potrzeba, ażeby stosunek ich liczebny do ludności chrześcijańskiej na tem terytorjum widocznie się zmienił"...

Trojakie formy walki z żydowstwem w Polsce można ustalić ze słów Popławskiego: 1) wypieranie żydów; 2) „częściową ich asymilację"; 3) popieranie rozkładu „sekty żydowskiej" wewnątrz.

Wypieranie żydów jest stosunkowo łatwe tam, gdzie 1) „handel i przemysł są słabo rozwinięte i nie mają świetnych widoków naturalnego rozwoju" i 2) gdzie „dosyć wysoki, istniejący lub możliwy do osiągnięcia i szybko się podnoszący poziom kultury ludu utrudnia lub utrudni żydom... pasorzytnictwo ekonomiczne".

Warunkom tym odpowiadał zabór pruski i częściowo austrjacki. To też „żydzi wynieśli się z Poznańskiego i zaczynają wynosić się z Galicji"—stwierdza Popławski.—„Nie mają tam co robić, wobec coraz niebezpieczniejszego dla nich, coraz sprawniejszego współzawodnictwa na polu handlowem ludności chrześcijańskiej. Wynoszą się więc do innych prowincyj Niemiec, Austrji i Węgier, przedewszystkiem do stolic, gdzie znajdują łatwiejsze warunki bytu, albo emigrują do Ameryki"...

Ten proces „naturalny i konieczny" w Poznańskiem i Galicji, „w zaborze rosyjskim nie może, zdaniem naszem"—mówi Popławski—„znaleźć zastosowania". Takie wypróbowane środki, jak podniesienie oświaty i kultury ekonomicznej — „w których wytwarzaniu i stosowaniu jesteśmy zresztą w zaborze rosyjskim"—powiada Popławski—„skrępowani"—mogą obniżyć tylko nieznacznie procent ludności żydowskiej. „Spadnie on z 15 na 12, dajmy na to na 10%, w każdym jednak razie pozostanie wydatnym. W Królestwie ogólny rozwój stosunków ekonomicznych sprzyjać będzie nadal koncentrowaniu się tam żydów"—twierdzi jeszcze raz Popławski — zaś „w kraju zabranym poziom oświaty i kultury, poniekąd apatyczny charakter części ludności, nawet gdyby warunki polityczne radykalnie się zmieniły, przez długi jeszcze czas umożliwi tam istnienie żydom w dotychczasowym zakresie ich gospodarczej i społecznej działalności".

Naturalnym wynikiem wypierania żydów będzie i jest ich emigracja z kraju, ale Popławski przestrzega przed zbyt różowemi nadziejami co do emigracji, jako środka ostatecznego wyparcia żydów. „Emigracja, nawet masowa"—mówi on—„bardzo nieznacznie wpływa na stosunki ludnościowe. Ubytek części ludności pokrywa zazwyczaj większy jej przyrost wskutek polepszenia się warunków bytu pozostających w kraju"... „Złudzeniem jest" — mówi w innem miejscu Popławski—„bardzo rozpowszechnione mniemanie, że zniesienie linji osiadłości wywoła masowy odpływ ludności żydowskiej z ziem polskich do Rosji. Gdyby ten odpływ przybrał nawet większe rozmiary, zredukuje on lub zupełnie przerwie dotychczasową emigrację żydowską z państwa rosyjskiego do Ameryki i Europy".

„Częściowa asymilacja żydów", którą przewiduje Popławski, jako wynik wzmagania się sił społeczeństwa polskiego, równie nie może rozwiązać sprawy żydowskiej, tembardziej, że nawet tylko taka częściowa „asymilacja" dałaby się zastosować nie wszędzie. Więc w zaborze pruskim, gdzie żydzi byli zupełnie zniemczeni—„nietylko o asymilacji, ale o przeciągnięciu ich politycznem na naszą stronę myśleć nie warto. Wskazaniem więc polityki narodowej w sprawie żydowskiej"—konkluduje Popławski—„może być nawet bezwzględna walka z żydami i wypieranie ich"...

W Galicji widzi Popł. możność częściowej asymilacji żydów; ułatwi tam ona „wypieranie żydów w sposób naturalny. Przy zmniejszaniu się liczby żydów, asymilacja pozostających w kraju pójdzie niewątpliwie łatwiej".

W zaborze rosyjskim wskutek wzmagania się liczby ludności żydowskiej, nieprzygotowania społeczeństwa i przeszkód ze strony rządu — „ani stopniowe wypieranie żydów, ani dobrowolna masowa ich emigracja nie są prawdopodobne". Natomiast, skutkiem niewątpliwym zniesienia linji osiadłości i „uruchomienia przez to żywiołu żydowskiego, ułatwienia mu roli pośredniczącej w handlu między wschodem i zachodem, między Rosją właściwą a Polską" — będzie nie dążność asymilacyjna w kierunku przyjmowania kultury polskiej, ale „rusyfikacja żydów polskich w Królestwie".

Popławski zwraca uwagę, że „jest to niebezpieczeństwo bardzo groźne, groźniejsze niż się dziś wydawać może. Pamiętamy"—mówi—„że w podobnych warunkach żydzi w zaborze pruskim zupełnie się zniemczyli, i że w Galicji omal to samo nie nastąpiło, że w kraju zabranym inteligencja całkowicie, a ogół żydowski w krótkim przeciągu czasu silnie się zmoskwiczył"...

Dlatego w zaborze rosyjskim „szukać musimy najkorzystniejszych dla nas i zarazem najłatwiejszych do osiągnięcia sposobów współżycia" [7]) z żydami, mówi

[7]) „Współżycia", naturalnie, tylko politycznego; cały sposób myślenia Popł. wyklucza jakąkolwiek możność choćby tylko pomyślenia o jakiejś innej formie „współżycia" między Polakami a żydami; zresztą sam Popł. nazywa ten pomysł „ogólnikowem wskazaniem" i wzywa do podjęcia „swobodnej i szerokiej dyskusji i gruntownego opracowania" kwestji żydowskiej w zaborze rosyjskim, przestrzegając przed „złudzeniami" i „dogmatycznemi uprzedzeniami" w tej sprawie.

Popławski, wskazując, że „na tej jedynej drodze wydaje mu się możliwem nie rozwiązanie na razie, ale dążenie do rozwiązania kwestji żydowskiej w zaborze rosyjskim“...

To „współżycie“ polityczne, a później i ostateczne rozwiazanie kwestji żydowskiej — miałoby najlepsze podłoże przy rozkładzie wewnętrznym „sekty żydowskiej“, przyczem należałoby tu uwzględnić i nowe prądy kulturalne, które wpływaćby mogły na zmianę umysłowości członków „sekty“, ich wyobrażeń i poczuć, oraz na warunki, rozbijające organizację wewnętrzną „sekty“, niezależną od społeczeństw i państw, w których „sekta“ żyje. „Wszystko to, co rozluźnia organizację sekty, co potęguje w niej czynniki rozkładowe“— mówi Popławski —„powinno być pożądanem, skoro nie można jej samej... usunąć“.

To też rozproszenie żydów po całym obszarze państwa rosyjskiego, przez zniesienie linji osiadłości — „musiałoby osłabić z konieczności nietylko ekonomiczną, ale i obyczajową i religijną wyłączność żydów, którą właśnie podtrzymuje i wzmacnia sztuczne ich zgęszczanie, połączone w dodatku z ograniczeniem praw, a więc poniekąd i możności zarobkowania“.

Za wysoce szkodliwe dla interesów naszych uważa równie Popławski popieranie zewnętrznej organizacji żydów; nie godzi się on ze zdaniem tych polityków, co sądzą, że „lepiej mieć do czynienia z przeciwnikiem zorganizowanym, bo wtedy można zawsze stosunek swój do niego jakoś uregulować“. Pomijając to kapitalne polskie „jakoś“, przytoczmy odpowiedź Popławskiego, przewidującą i męską: „Zapomina się o tem“—mówi on — „że u nas zorganizowane żydowstwo starać się będzie przedewszystkiem i stara się już o uregulowanie swego stosunku do naszych wrogów i na naszą szkodę“...

Słuszny to jest wniosek, płynący z przesłanek, że zorganizowane w wszechświatowym związku żydowstwo nie zechce mieć i uznać nas za przedstawicieli swych interesów (tak różnych od interesów Polski) i będzie się starać o zabezpieczenie ich poza nami, na naszą szkodę, która jest automatycznym zyskiem żydów, gotujących się do zajęcia miejsca gospodarzy w kraju. Dzisiejsze, powojenne stosunki stwierdziły słuszność tezy Popławskiego wielokrotnie.

Aktualność tej i innych uwag Popławskiego o sprawie żydowskiej, powinnna zwrócić uwagę naszych pisarzy politycznych i pobudzić ich do żywszej dyskusji nad tą kwestją. Stała się bowiem sprawa żydowska dziś bardziej aktualną i groźną, niż w czasach Popławskiego.

IGNACY KOZIELEWSKI

SŁOŃCE PROWANCJI

(FRYDERYK MISTRAL)

KILKANAŚCIE lat temu, w gronie przyjaciół, wśród którego nie brak było dobrych znawców twórczości literackiej dawnych i naszych czasów, poruszono sprawę ubóstwa epoki współczesnej pod względem wielkich twórców, którzy byliby zarazem wielkimi prawdziwie ludźmi.

Ktoś wymienił, zresztą bez większego przekonania, Lwa Tołstoja, jako, być może, najlepiej odpowiadającego ideałowi wielkiego twórcy oraz wielkiego człowieka.

Wówczas zauważyłem: „a dlaczegóż nie miałby nim być raczej Mistral?...“ Rozmowa się urwała, zrobiła się cisza — okazało się bowiem, że wśród zebranych coś tam może słyszano o poecie prowansalskim, nie znano jednak ani dzieł jego ani żywota, nie umiano więc osądzić, czy zasługuje na miano „wielkiego“ pod jednym i drugim względem.

A przecież oddawna już mieliśmy doskonały przekład jednego z arcydzieł poetyckich „patrjarchy z Maillane“, (przekład Adama M-skiego „Bibljoteka najcelniejszych utworów“)... a przed paru laty sławę jego wobec szerokiego świata uświęciła nagroda Nobla!

Nie dziwmy się jednak, że o genjalnym autorze „*Miréjo*“, o wskrzesicielu języka, tradycyj, duszy swego ojczystego kraju (Prowancji), o najznakomitszym w ostatnich czasach wyrazicielu najczystszej kultury łacińskiej, nie wiele wiedziano u nas i mało się nim interesowano, gdyż i we Francji dużo wody upłynęło, zanim go uznano i przekonano się o istotnej jego wielkości — jako twórcy i jako człowieka.

Wprawdzie zachwycił się odrazu jego genjuszem poetyckim Lamartine, który w entuzjastycznych słowach polecił go swoim wielbicielom i czytelnikom; poznał się na nim również, od pierwszego rzutu oka, Barbey d'Aurévilly: ileż jednak i u tych szczerych entuzjastów, co wywodzili Mistrala wprost od Homera czy Wirgiljusza, było jeszcze niezrozumienia jego istoty poetyckiej oraz tej przesadnej retoryki, która fałszowała naturalne oblicze poety i człowieka.

Cóż więc mówić o tych typowo-paryskich fejletonistach—szafarzach jednodniowej sławy i nieśmiertelności — o takich jak J. Claretie, H. Fouquier, Saint-René Taillandier i t. p., którzy oskarżali Mistrala o wrogi Francji „separatyzm“, albo nie odmawiając mu wielkiego talentu, doradzali, żeby porzucił „narzecze“ prowansalskie, język ojców swoich, który, według nich, był czemś w rodzaju sanskrytu—i tworzył w języku francuskim.

Gdy i ci wszakże się przejednali i zaczęli nawet oklaskiwać w imieniu Paryża „wielkiego poetę Południa“; gdy przyznali mu prawo „opiewania ziemi rodzinnej w języku swego kraju“ i nie widzieli już w tem dążności separatystycznych—nie było to jeszcze dowodem, że zdawano sobie wówczas należycie sprawę z tego, jak wielkie znaczenie posiada dzieło Mistrala dla kultury Francji wogóle. Dopiero, gdy się przekonano, jak bezpłodną stawała się dla twórczości spuścizna romantyzmu, ile w samym romantyzmie było fałszu, próżnego efektu oraz nieszczerego natchnienia, nie mówiąc już o tem jak to wszystko obrażało tradycje i ducha kultury łacińskiej, — wówczas dopiero uświadomiono sobie wielkość istotną mistralowskiego czynu twórczego.

Lamartine, który zaliczał Mistrala do poetów „natury“, siebie zaś i innych wielkich twórców XIX-go stulecia do poetów „sztuki“, zastanawiając się nad większą orginalnością i świeżością natchnienia pierwszych w porównaniu z drugimi, tak wyjaśniał powody tej przewagi: ...„dlatego, że my zapatrzeni jesteśmy w samych siebie, że nasza poezja jest zwrócona na wewnątrz, oni zaś podziwiają tylko Boga w jego dzie-

łach; dlatego, że my wywodzimy się z lampy, oni natomiast wywodzą się ze słońca"...

Słuszne i piękne słowa, tylko zaliczanie Mistrala wyłącznie do poetów „natury" jest bezpodstawne, łączy on bowiem w sobie, w przedziwnej równowadze, naturę z kulturą, t. j. ze sztuką, z namysłem, ze świadomością tego, co ma zrobić, celu do osięgnięcia. No, i pomimo, iż jest także poetą „sztuki" nie wywodzi się z lampy, tylko że słońca.

I to stanowi o jego prawdziwej wyższości nad innymi; i dlatego ci, co poznali tę pełnię jego istoty twórczej, nie wahają się (jak np. Ch. Maurras, L. Daudet i wielu innych) wyznaczyć jemu pierwszego miejsca wśród wielkich poetów Francji XIX-go stulecia (nie W. Hugo i t. p.), jego uważać za istotne poetyckie wcielenie genjuszu rasy łacińskiej. I tu już nietylko o to chodzi, co tak w dziele Mistrala zachwycało wielkiego romantyka. „Na każdej stronicy tej świetlanej książki" — pisał Lamartine po przeczytaniu mistralowskiej „*Miréjo*"—„błyszczy kropla rosy jutrzni, która powstaje, znać tchnienie poranka, uczuwa się oddech młodości roku, widać wytryskający promień, który grzeje i rozwesela nawet smutek niektórych części tego opowiadania". To prawda! ale tu, jak i w całem dziele twórczem Mistrala, w całem nadto jego życiu, w tem jak czuł, myślał, wierzył i działał, odzwierciadla się również niepożyta moc i zacność rasy, do której należał, piękno i prawda kultury przez nią wytworzonej, jej wypróbowana mądrość i doświadczenie.

Poezja jest tu w zupełnej zgodzie z człowiekiem, z tem, kim jest on jako jednostka, jako cnota swojej rasy, jako jej najwyższa kultura duchowa: poezja jego jest wzniosła i prosta zarazem, świeża i mądra, wielka, bowiem człowiek jest wzniosły i prosty, świeży i mądry, „podziwiający Boga w jego dziełach" — prawdziwie wielki.

Na człowieka chcę tu przedewszystkiem położyć nacisk, bo przez to i poezja jego stanie się zrozumialszą — i uwidoczni się lepiej, dlaczego jego „wywodzi się ze słońca", podczas gdy innych raczej „z lampy".

„Biografja Fryderyka Mistrala" — powiada Leon Daudet (p. „*Courrier des Pays-Bas*" T. 1-szy. „*Le Rythme des vies d'exception*")— „jest jedną z najciekawszych, przy swojej pozornej prostocie. Dotknięty znikomością wszechrzeczy, rozkładem języka rodzimego oraz zanikiem zwyczajów, powziął on od najwcześniejszych lat — zdaje się w wieku młodzieńczym — postanowienie walki, przeciwdziałania temu".

W istocie długoletni żywot (ur. 1830, umarł 1914 r.) Mistrala jest wypełniony walką—rzec można—o ciało i duszę Prowancji, o podniesienie z upadku i zapomnienia, o ożywienie tego wszystkiego, co zanikło na tej ziemi jego ojców wskutek przeciwności losu i zmienności czasów, a co niegdyś było jej siłą i pięknem oraz chlubą cywilizacji rasy na niej osiadłej.

Walkę tę prowadził Mistral od początku do końca z jednakowem przekonaniem, uporczywie i pogodnie zarazem, mądrze i w prostocie naturalnie wzniosłego ducha, niesłabnącego ani na chwilę w wierności dla swoich zmarłych i żywych, nie wątpiącego ani chwili o słuszności sprawy podjętej oraz wielkości dzieła przedsięwziętego.

Żywot tak całkowity, tak namaszczony i nastrojony patetycznie, a przytem tak pełen radosnej swobody, jasności i dobroci w stosunku do życia, świata i ludzi, tak tchnący świadomą potęgą zrównoważonego, harmonijnego ducha, że podobnych szukać chyba trzeba wśród legendarnych herosów starożytności.

Lamartine, zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie zrobił na nim Mistral, który złożył mu do przeczytania rękopis swojej „*Mirei*", powiada że „młody Prowansalczyk czuł się dobrze zarówno w swoim talencie jak w swoim ubraniu; nic go nie krępowało, dlatego iż nie starał się on wydąć do rozmiarów powyżej własnej natury". Oto tajemnica jego instynktu życiowego, jego wdzięku kulturalnego, dostojeństwa i naturalnej mądrości, czem się odznaczał Mistral od lat najmłodszych, gdy jeszcze sława nie opromieniała jego imienia aż do kresu dni swoich, których większość przeszła mu na odbieraniu od świata ustawicznych hołdów i wyrazów uwielbienia.[1])

Wyjątkowa łaska natury, bezcenny dar odziedziczony — to prawda! Nie jeden wszakże dar tego rodzaju roztrwoniłby na rzeczy ponętne i efektowne, dogadzając własnej żądzy, ambicji czy próżności, siebie samego, „ja" swoje obierając za cel życia, naginając wszystko do tego.

Mistral ten dar odziedziczony nietylko przechował, lecz powiększył go dlatego, iż mniej się przejął poczuciem osobistej wartości, własnej wielkości oraz piękna, niż poczuciem wielkości i piękna tej rasy, z której pochodził i tej ziemi, której był wykwitem.

Cel swego życia upatrzył w służeniu im, uznał siebie za narzędzie w sprawie wskrzeszenia podeptanej przez czasy ich chwały, oraz sponiewieranego piękna. Pragnieniem tem oddychał jak zdrowem powietrzem, wiarą w świętość sprawy zagrzewał siebie do nieustannego czynu oraz wytrwania.

„Duszo wieczyście odradzająca się"— wołał —„duszo radosna, dumna i żywa — Ojczyzny duszo nabożna, wzywam cię, wciel się w moje wiersze prowansalskie" (inwokacja z poematu „*Calendal*"). A dusza ta wcielała się nietylko w jego wiersze, lecz we wszelkie „dnie i prace" jego życia, dlatego, że nosił ją w sobie, codziennie z niezmienną miłością wskrzeszał ją w duchu własnym oraz dokoła siebie. Duszy Ojczyzny własnej oddał całego siebie: genjusz poetycki, wolę niezłomną, mądrą myśl i wiedzę ogromną. W tej służbie ziemi i rasie swojej, w wiernem, religijnem oddaniu się ich duchowemu odrodzeniu, rozwinął wszelkie zasoby twórcze swego ducha, wzmógł siły jego, posiadł pełnię „ja" własnego — i to tak, że aczkolwiek przemijające, jak wszystko co indywidualne, jaśnieje odtąd niezrównanem dostojeństwem nieśmiertelności.

Zostawił po sobie dzieła bezsprzecznie piękne, budzące powszechny podziw oraz wdzięczność potomnych: szereg cudnych utworów poetyckich, które podług znawców są najwyższym wyrazem ideału danej rasy i jej kultury („*Mirèio*", „*Calendal*", „*Iselo d'or*", „*Nertà*", „*Reino Iano*", „poemat Rodanu" i t. p.); zebrał skarby mowy prowansalskiej (znakomity słownik „*Trésor du Félibrige*", o którym filologowie powiadają, że więcej zrobił dla języka prowansalskiego, niż słownik Littré'go dla francuskiego), zebrał również cenne relikwie i pamiątki starej Prowancji w założonem przez siebie i wyposażonem Muzeum w Arles („*Museon Arletan*") i t. p.

Nadewszystko jednak zostawił niezrównane dzieło osobistego życia, wzór jak żyć, jak ustalać swój stosunek do świata, by zasłużyć na miano tylko — człowieka w najpełniejszem znaczeniu i najszlachetniejszem pojęciu tego wyrazu.

Człowieka, który odrazu urósł do wielkości — „w jedną noc o trzy łokcie", jak rozkwitający aloes—

[1]) O życiu Mistrala dobrze informuje książka M. André „*La vie harmonieuse de Mistral*", nie mówiąc już o pracach Maurrasa („*L'Etang de Berre*"), J. Vérane'a, L. Daudet'a, Ajalbert'a, Gasquet'a i w. innych.

podług powiedzenia Lamartine'a, nigdy jednak nie dał nikomu poznać po sobie, iż jest wielkim i o przyznanie tej wielkości nigdy nie upominał się wobec kogokolwiekbądź; człowieka, co wśród szarej rzeszy swoich bliźnich był widoczny o sto mil zdaleka, żył mimo to na równej stopie z tą masą prostaczków, dzieląc ich myśli, troski, oraz cały tryb istnienia — sam jak prostaczek, chodzący bez blasku po świecie bożym, chociaż był niekoronowanym królem Prowancji, obdarzonym majestatem panującego nad duszami — swego kraju.

Żył—radował się i cierpiał — za miljony. Gdy przyszła nagle do niego Sława i dała mu rozkoszne poczucie potęgi twórczej, uradował się Mistral nie za siebie tylko, lecz przedewszystkiem za „ludzi wioski swojej", którzy, jak zwierzał się w liście do Lamartine'a, będą podawali sobie z ust do ust radosną nowinę, mówiąc między sobą: „Ktoby powiedział, że Fryderyk, to dziecko, które znamy wszyscy i codziennie tykamy, mógł dokonać tak pięknych rzeczy nie wychodząc od nas, a nadewszystko mówiąc o nas"...

Tak następnie radował się za całą Prowancję, za cały naród i za całą rasę swoją.

Gdy wreszcie Śmierć zajrzała mu w oczy, kiedy z najbliższymi ze swego otoczenia przewidywał jej następstwa — pogrzeb i t. p., i wówczas w duchu swoim łamał się chlebem powszednim z tymi, z którymi żył od urodzenia i zlewał na nich promienie własnej chwały, dzielił się niemi z tymi, co ich nie mieli. Omawiając z żoną sprawę pogrzebu swego, prosił o nieskładanie wieńców, po chwili wszakże namysłu mówi, że nie sprzeciwia się temu, prosi jednak, by w parę dni po pogrzebie poszła na cmentarz i rozdzieliła wieńce pomiędzy ubogie groby, które nie mają ich wcale...

I tak przez całość żywota — ta sama wola, jedna osoba moralna, ta sama swoboda wewnętrzna ducha, jego niewyczerpana promienność oraz wzniosłość. A wszystko to „wywodziło się ze słońca, nie zaś z lampy". Stąd wielkość Mistrala, jako poety i jako człowieka — sam był słońcem — wiódł więc innych w jasność! I tu znowu przychodzi na myśl Tołstoj — ten posępny tytan mroków, z „lampą" w ręku, poszukujący dróg swoich, dla siebie przedewszystkiem, w poniżającej obawie śmierci, zaniku ciała. Ten wyszedł z „czarnego słońca" — i wiódł innych w ciemność.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

SENTENCJE I PARADOKSY

NARÓD, który nie ma wspólnych ideałów, porywów, dążeń i wstrętów, jest tylko rzeszą ludzi, mówiących tym samym językiem.

*) 264. Państwo nie jest celem, lecz tylko niezbędnym środkiem, żeby społeczeństwo mogło bezpiecznie, normalnie i pomyślnie żyć i rozwijać się.

265. Niemądra ustawa podobna jest do dziury w moście: kto jej nie obejdzie, — albo zginie, albo nogi połamie.

266. Nie o każdym wiemy, czy jest istotnie stałych przekonań, bo nie każdy był na wozie i pod wozem.

267. Kochajmy ludzkość i pracujmy dla niej, ale skoro zmrok zapadnie spuśćmy czemprędzej psy z łańcucha... i w dzień nie ukazujmy się bez broni.

268. Nie samotny, choćby na bezludnej wyspie, kto gorąco innym współczuje. Zawsze osamotniony, nawet w ciżbie klubów i salonów, kto tylko sobą zajęty.

269. Łatwiej o wiele naśladować dobrego człowieka, niż mądrego, a mimo to tylko ten trudniejszy rodzaj sportu znajduje zwolenników.

270. Żydzi tylko temu zawdzięczają swoje tak wpływowe stanowiska w świecie, że się nie ulękli gromów Mojżesza i zawsze wiernie czcili złotego cielca.

271. Gdy ludzie szczerzej i brutalniej dążą do zaspokojenia swoich wrodzonych żądz i odwiecznych pragnień, mówimy o nastaniu nowych czasów.

272. Skupienie uwagi na zjawiskach przyjemnych nazywamy rozrywką.

273. Rozprawiać o rzeczach poważnych z głupimi — to jakby grać o wysokie stawki z biedakami.

274. Uczciwość w polityce uchodzi za śmieszną naiwność, a szantaż za finezję dyplomatyczną i na tem polega tragedja międzynarodowych stosunków.

275. Wiara automatyzuje myśl i wolę tłumów, krzepiąc ją i koncentrując, dlatego tak ważna jej rola w dziejach ludzkości.

276. Prawdziwa wolność — to możność rozporządzania własną osobą każdej chwili. Dlatego wolność bez własności prywatnej jest nie do pomyślenia.

277. Prawda ma rodzoną siostrę — złudę, podobną do niej we wszystkich rysach, a która ją nawet często zastępuje, nie czyniąc krzywdy nikomu.

278. Odporność natury ludzkiej i dyskrecja umarłych czuwają nad reputacją niejednego lekarza.

279. Musieli dawno istnieć moralni ludzie na świecie, zanim powstały prawidła moralności, gdyż inaczej niktby ich nie zrozumiał, ani odczuł.

280. Główne zadanie szkoły powinno polegać na wdrożeniu uczni do samodzielnego myślenia i na obudzeniu w nich bezinteresownej ciekawości i żądzy wiedzy.

281. Nawet zniszczenie wszelkiej broni palnej i siecznej nie zabezpieczyłoby świata od wojen, gdyż ludzie zachowają zawsze do ostatecznej walki pięści i zęby.

282. Módz bezkarnie nic nie robić i z tej możności tylko rzadko korzystać, należy do najważniejszych warunków szczęścia.

283. Rozpowszechniły się perfumy wśród szerokich mas, bo są tańsze od kąpieli.

Kielce FELIKS CHWALIBÓG

*) Ob. nr. 35 „Myśli Narodowej" z r. b.

LIBERUM VETO

Piorunująca wiadomość o podwyżce dyskonta w Ameryce. — Dobre i złe weksle polityczne.—Nowy wynalazek arystokracji.— Znowu kupieni. — Dywan wilanowski. — Ogół nie wierzy. — Świt, czy przedwczesna radość.

PRZYPOMINACIE sobie, czytelnicy, jakie to wrażenie, popłoch i wrzawę wywołała przed kilku tygodniami wiadomość, że Ameryka podniosła w bankach dyskonto. Zadrżała główna handlarka europejska, Anglja, zadrżały inne państwa i narody, nawet te, które dobrze nie wiedziały, dlaczego mają się niepokoić. Zatrwożyli się śmiertelni za przykładem bogów. Wyznaję szczerze, że i ja, pomimo uważnego czytania objaśnień alarmu, dotąd nie wiem, dlaczego cała Europa przeraziła się, gdy Ameryka podniosła dyskonto. Nie nabyłem bowiem specjalnej znajomości tych nerwów świata, po których przebiegają prądy giełdowe i od których ma zależeć jego zdrowie i życie. Przypuszczam jednak, że muszą one odgrywać tę ważną rolę, skoro obie półkule ziemi trzęsły się jakgdyby po wybuchu wielkiego wulkanu z jej rozpalonego wnętrza. A skoro tak jest, to nawet bez wiedzy finansowej możemy wyprowadzić wniosek, że obecny świat kulturalny, chrześcijański, ceniący gębę ponad wszystkie dobra duchowe, czczący, również gębą, bóstwa w kościołach i mistrzów w akademjach, jest właściwie wielką giełdą, świątynią, w której ludzie składają na ołtarzu swoje serca i mózgi, w której klęcząc, modlą się do szyderczo uśmiechniętego djabła, ażeby im kamienie swoją wszechmocą zamienił na złoto. Wszystkie frazesy o naszej moralności, ideałach są obłudną, nałogową paplaniną, która nietylko nie wyraża prawdy, ale jest bluźnierstwem przeciwko rzeczywistej mądrości życia. Wobec tego kultu czy są słuszne nasze skargi i oburzenia na podwyższone dyskonto dla wszystkich cnót moralnych, społecznych i politycznych, a zniżone dla bezprawia, morderstw, kradzieży, roztrwonień i innych występków publicznych? Te nie obrażają złotego cielca, który wymaga tylko religji finansowej, uzależniania wszystkich spraw ludzkich od najświętszego ze świętych — pieniądza. Banknot jest cudownym obrazem, złoty lub srebrny krążek medalikiem, odpuszczającym wszelkie grzechy i zabezpieczającym od wszelkich nieszczęść. Dlatego — jak się domyślam — podwyżka dyskonta w Ameryce zrobiła tak wstrząsające wrażenie.

Dzienniki donoszą, że banki dyskontują „dobre" weksle na 1 — 2, a „złe" na 4 — 5 proc. miesięcznie. Tę samą stopę kredytową przyjął podobno rząd na giełdzie politycznej. Za złe weksle uważa obecnie konserwatywne, jako pochodzące od wystawców niepewnych, obdłużonych i zbankrutowanych. Chemja nie wynalazła dotąd sposobu mieszania wody z ogniem, rolnicy nie wynaleźli zaprzęgu dla gołębia z jastrzębiem do ciągnienia pługa, technicy nie wynaleźli maszyny, wyrabiającej gwoździe ze szparagów, ale arystokracja szlachecka wynalazła formułę, według której łączyła zdrajcę z patrjotą, a obecnie zachowawcę z rewolucjonistą. Wypróbowanym klejem do spajania tych żywiołów jest pieniądz, który tak mocno je zwiera, że ich nie rozerwie ani rozum, ani uczciwość, ani sumienie, ani wstyd. Dowiedli tego targowiczanie w XVIII w., ugodowcy w XIX, niebieskokrwiści sanatorowie w XX. Kiedy pewien hrabia galicyjski, oglądając „Rejtana", napomknął, że tego obrazu, piętnującego możnowładców, nikt nie kupi, Matejko odpowiedział: „Kupili żywych, to kupią i malowanych". Genjalny artysta znał naszą „elitę" rodową, a gdyby żył obecnie, może namalowałby B. B. z Radziwiłłem i Pepesowcem na pierwszym planie, a czcigodnym Trąmpczyńskim, leżącym na progu sali sejmowej. Jak w przeszłości, tak i teraz szlachta niższego, ale nie najniższego rzędu, nie dworkowa, ale dworowa, kareciana lub samochodowa, zbiła się przeważnie w kupę baranią i na komendę jaśniepańską przeskakiwała podczas wyborów przez kij w postaci „jedynki". Pewien zacny obywatel i autentyczny rodowiec utrzymuje, że z prawdziwej szlachty polskiej pozostały tylko szczątki, rzadko osadzone w warstwie ziemiańskiej, jak grudki złota w pokładach piasku. Tak jest, ale ten piasek, rozsypany po obszarach folwarcznych, nadaje swym ziarnkom błyszcz cennego metalu; mianuje się jego nazwą. Zaofiarował on się do budowy państwa na partackie mury, które się walą, przygniatając swojemi gruzami nieopatrzne i łatwowierne społeczeństwo.

Ponieważ okazało się jeszcze raz, że najliczniejsza gromada parobków, posługaczów, furmanów, pokojowców i lokajów, nawet sprawiających liberję własnym kosztem, nie tworzy w żadnem przedsięwzięciu organizacji twórczej, więc panowie z B. B., początkowo hojnie wynagradzani, stracili łaski i są zagrożeni wypowiedzeniem służby. Dziś ich weksle obciążono wysokiem dyskontem, a może wkrótce już nie będą zupełnie „honorowane".

Stało się u nas przypadkiem powszednim, że z najpiękniejszego, pozornie zdrowego owocu społecznego po rozkrajaniu wyłazi brzydki robak, że czyn, zewnętrznie jasny rzuca długi cień. Ponieważ nasze życie publiczne tylko częściowo płynie nurtem odkrytym, a przeważnie w kanałach podziemnych, przeto zrażony i wielokrotnie oszukany ogół — niczemu nie wierzy i nikomu nie ufa. Gdy prasa doniosła, że właściciel Wilanowa sprzedaje zagranicę dywan pamiątkowy po Janie Sobieskim, że rząd postanowił nabyć tę pamiątkę za 800.000 zł. i że urząd skarbowy położył areszt na tej sumie dla pokrycia zaległych podatków, podejrzliwi ludzie powiedzieli, że w tej wiadomości musi się ukrywać jakaś tajemnica — zaczęli ją przenikać. Chociaż zarząd dóbr p. Branickiego wyjaśnił, że dywan nie ma żadnego związku z Sobieskim, nie przestają rodzić się rozsnute domysły, które charakteryzują nasze obecne położenie. Jakkolwiek wszakże wygląda prawda, oszczędny, za jakiego się ma i gospodarny, jakim nigdy nie będzie, rząd nie powinien wydawać 800.000 zł. na kupno dywanu, i to nie pamiątkowego wtedy, gdy już nie brzemię, ale góra podatkowa rozgniata naród, kiedy ze wszystkich kręgów społeczeństwa, jak z piekła Dantejskiego, brzmią skargi na męczarnię życia w cierpieniach i nędzy, kiedy niema szkół, niema dróg, niema uregulowanych rzek, niema mieszkań dla miljonów ludzi, niema prawie wszystkiego, co państwu kulturalnemu jest potrzebne. Ale może również potrzebnym komuś jest piękny dywan? Przecie na „remonty" i „umeblowania" dygnitarzy nie żałujemy dochodów podatkowych. „*Quis scit* co za górą?" Wiemy tylko, że w naszem życiu panuje ciemna noc, czasem tylko oświecona księżycem, odbijającym światło ukrytego słońca gwiazdami wschodzącemi, a często spadającemi. W tej nocy nie widzimy wyraźnie przedmiotów, nie słyszymy wyraźnie głosów, tylko majaki, szepty, wycia, sowie śmiechy, nietoperze piski, zagadkowe krzyki i wołania o ratunek. To też trudno wymagać od społeczeństwa, ażeby ono tylokrotnie okłamane uwierzyło, że p. Branicki rzeczywiście posiada jakiś dywan, ażeby nie przypuszczało, że to wcale nie był gobelin, ale jakiś kontr-

rewolucjonista majowy, który nazywa się Dywan, ukrywał się od trzech lat w pałacu wilanowskim, gdzie go „sanacja“ odnalazła, a za przechowywanie winowajcy dano p. Branickiemu do wyboru albo zapłacić 800000 zł. albo będzie wsadzony przez tajemniczych panów i wywieziony gdzieś niedaleko, ale głęboko, poczem ukazywać się będzie w rozmaitych miejscach kuli ziemskiej. Bajka, zabrawszy z sobą kądziel i wrzeciono, przyleciała ze Wschodu do Polski, nazbierała włókien z obfitych tajemnic, przędzie i snuje opowieści, które wyglądają fantastycznie, a jednak mogą mieć w sobie nieco prawdy.

Pesymiści niewyleczeni z optymizmu przepowiadają bliski koniec nocy i nadejście dnia. Widzą już jego świt, popłoch satyrów, wilkołaków, zmor, nocnych drapieżców, bachistów, słowem „sanatorów“, bądź przygotowujących sobie bezpieczne kryjówki, bądź przemieniających się w inne postacie. Zdaje mi się jednak, że jest to scenerja marzenia, a nie rzeczywistości. Któryś z wróżbiarzów tej gromady przepowiedział jej panowanie, grasowanie i żerowanie przez 15 lat, może nie pozostaje jej już 12 lat „radosnej twórczości“, ale wątpię, ażeby znikła tak prędko, jak tego życzą sobie patrjoci i jak zaczyna żądać naród, od którego głównie zależy jej istnienie. A to jest masa ludzka, łagodna, wyrozumiała, wytrzymała a nadewszystko cierpliwa, ach, jak bezmiernie cierpliwa! Więc jeszcze nie gaście świateł rozjaśniających mroki, nie zapowiadajcie godów, nie bijcie w dzwony, wzywające na uroczystość zmartwychwstania, nie śpiewajcie: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, bo jeszcze długo musimy śpiewać „Gorzkie żale“.

Utinum falsus sim vates — obym był fałszywym prorokiem!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

TREŚĆ I FORMA

OBSZERNE oświadczenie min. Piłsudskiego, jakie dnia 22-go b. m. pojawiło się w szeregu dzienników, zwraca uwagę wprowadzeniem doń motywu w dotychczasowych wystąpieniach niezmiernie rzadkiego, mianowicie pewnych rozważań o charakterze ogólniejszym, możnaby rzec—ideologicznym. Żali się więc min. Piłsudski, iż cechą znamienną naszych stosunków politycznych jest jakoby „wymieranie treści a wzrost znaczenia formy“, że przeto człowiek dzisiejszy „błaznem się staje i jak opętany i zatruty jadem degeneracji o treści każdej pracy zapominając czepia się formy, czepia się literek“... Według min. Piłsudskiego, zjawiska takie są—niemylną cechą „gaśnienia“.

Stwierdzić należy, iż tego rodzaju przeciwstawianie treści formie jest świadectwem myśli niezbyt filozoficznie pogłębionej, raczej powierzchownej. Treść i forma—to są rzeczy związane niezmiernie ściśle, wzajemnie od siebie uzależnione. Wszak każda treść wymaga niezbędnie odpowiedniej dla siebie formy, nie mogłaby ona powstać ani istnieć jako coś całkowicie nieokreślonego, bezkształtnego. Przykładów, objaśniających ten życiowy związek treści i formy, możnaby przytaczać bez końca. Tak więc np. przysięga jest jedynie szczególną, wyjątkowo uroczystą f o r m ą złożenia zobowiązania, natomiast złamanie przysięgi świadczy niezaprzeczenie o nieszlachetnej t r e ś c i moralnej człowieka, zdolnego poniżyć się do krzywoprzysięstwa.

Zespolenie, zależność wzajemną treści i formy obserwować można, rozpatrując najrozmaitsze dziedziny twórczości ludzkiej, choćby tylko twórczość w zakresie literatury. Czyż pod tym względem dałoby się znaleźć przykład bardziej uderzający, aniżeli sam p. minister Piłsudski jako pisarz i mówca? Czyż istotnie forma jego wystąpień nie odpowiadała w sposób najdokładniejszy powadze ich treści, czyliż stopień jasności wysłowienia nie był ścisłem, znakomitem odzwierciadleniem stopnia jasności myśli, które w nich miały być wypowiedziane? Czyż taki poziom myśli państwowej, jaki w tych wystąpieniach się ujawnił, mógłby był wogóle znaleźć odbicie przy zastosowaniu innego słownictwa, innych porównań? Związek ten uwydatni się w sposób zgoła niezaprzeczalny, zwłaszcza gdy dokonane będzie nareszcie, tak oddawna szczerze wyczekiwane, i od tak dawna już w „Głosie Prawdy“ zapowiadane... zbiorowe wydanie dzieł literackich min. Piłsudskiego...

Jeżeli ostatnie wystąpienie min. Piłsudskiego nastraja przedewszystkiem do tego rodzaju rozważań teorytycznych, ogólnych, to w niemałym stopniu dlatego, iż jego strona polityczna poświęcona została przedewszystkiem zarzutom pod adresem partyj lewicowych (P. P. S., „Wyzwolenie“), czyniących jakoby nadzieje nawiązania ściślejszych stosunków z obozem obecnie rządzącym, następnie zaś nie spełniających w ostatniej chwili owych zapowiedzi. Jest to więc niejako wewnętrzny, „domowy spór“ dwuch grup, które wspólnie przewrotu majowego dokonały, i z całego oświadczenia min. Piłsudskiego wynika, że Stronnictwo Narodowe w Sejmie nikomu wogóle nie czyniło najmętniejszych nawet obietnic, z którychby się musiało wycofywać. Nie do niego też stosują się te nauki moralne, jakie ponownie udzielał min. Piłsudski Sejmowi, wziąwszy dla tych rekolekcyj za kazalnicę — dostojne szpalty „Kurjera Porannego“ i „Expressu“...

Różnica zresztą, która oddziela obóz narodowy od t. zw. „sanacji“ nie ogranicza się wyłącznie do różnic w dziedzie programów politycznych i nie na terenie wyłącznie politycznym mogłaby być w całości wyrównana. Jest to właśnie przedewszystkiem bodaj różnica poglądu na f o r m y współżycia między ludźmi, choćby nawet na zagadnienia tak czysto — formalne, jak... właściwość odwiedzin sekundantów u wyzwanego o godz 6 nad ranem.

Bowiem owe różnice f o r m — na pozór błahe, stają się w tym wypadku granicą, oddzielającą od siebie dwa odmienne całkowicie światy — t r e ś c i.

R.

NIEFORTUNNY POMYSŁ MUZEOLOGICZNY

RZUCONO w prasie myśl bardzo niefortunną, aby wszystkie eksponaty z Wystawy Krajowej w Poznaniu, mieszczące się w pawilonie rządowym, zachować w całości i ulokować w Muzeum Narodowem.

Projektodawcy nie zdają sobie sprawy, że pawilon rządowy nie obejmował wszystkich dziedzin pracy państwowej i że należałoby dołączyć pawilony inne (komunikacja, leśnictwo itp.), ale nawet bez tego dołączania, sam pawilon rządowy zająłby cały gmach Muzeum Narodowego. I co dalej, mielibyśmy przez dziesiątki lat przed oczyma życie państwa zatrzymane na r. 1929. Skądże Muzeum miałoby brać na siebie pracę przerabiania, czy uzupełniania tablic statystycz-

nych i grafik, z których głównie wystawa rządowa się składa?

Dziwny mamy pogląd na rolę Muzeum Narodowego. Z tego pomysłu widać, że chcielibyśmy mu nadać przeznaczenie dydaktyczne lub składu wszelakiej mądrości. Konsekwentnie wszystko, co się w kraju robi, musiałoby się kończyć egzaminem w Muzeum Narodowem. Tamby trzeba przenieść cały urząd statystyczny, eksponaty wszystkich wystaw, jakie się zdarzą. Całe miasto budynków miałby pod sobą dyrektor Muzeum.

Muzeum Narodowe w założeniu swojem ma być skarbcem unikatów (dzieł sztuki czy cennych pamiątek), mających wartość indywidualną i do tego takich, które dla siebie nie mają miejsca naturalnego i mogłyby inaczej zaginąć. Ale przecież nigdy nikt nie myślał, że Muzeum będzie taką instytucją, poza którą już nic cennego, ciekawego, czy pouczającego w kraju nie będzie.

Bogate, kulturalne społeczeństwo całe powinno być jak muzeum. Każdy dom chłopski czy pański będzie wtedy prawdziwie ludzki, jeśli w fundamentach swoich będzie miał swego rodzaju muzeum, coś pamiątkowego, przez to cennego. Domy bogate zbliżać się mogą do muzeów wartością bezwzględną rzeczy posiadanych. Muzeum Narodowe—to nie skład rzeczy pożytecznych, lecz wybór tego, co powinno być własnością narodu, a inaczej bez tej instytucji ocalonеby nie było. Ale poza gmachem Muzeum naród ma w instytucjach państwowych wiele innych pomieszczeń, gdzie własność publiczną można i należy przechowywać.

Eksponaty rządowe, w Poznaniu zebrane, są własnością ministerjów. Każde ministerjum ma swój pałac. Jeżeli każdy dom prywatny powinien być w pewnem znaczeniu muzeum, to tembardziej pałac ministerjalny. Ileż tam sal i gabinetów pustych, które jedynie biurkami wśród gołych ścian dają poznać, że ktoś w nim przebywa. Ale nad czem pracuje? Niechże o tem świadczą popisowe eksponaty z wystaw choćby. Niech się praca urzędników do tych wykresów dociąga, bo nieraz wykresy robione są na... wyrost.

Puste dotąd sale przybiorą jakiś wyraz inteligentny, stworzą atmosferę pracy, a w godzinach pozabiurowych mogłyby stać się dostępne dla zwiedzających i badaczy.

Wybić trzeba sobie z głowy muzea trupiarnie. Z plonami pracy w zbiorach naukowych czy pedagogicznych trzeba żyć i pracując stale na nie z dumą patrzeć, traktować je jako coś, co w oczach rośnie, żyć wśród nich jak wśród drzew. Inaczej świat tworzony przez człowieka łatwo podzielić na muzea i wystawy sklepowe — na cmentarz i rynek targowy, a poza tem będzie pustka dusz i gołych ścian.

Muzeum Narodowe musi mieć swój gmach dla pomieszczenia zbiorów specjalnych, wskazanych przez muzeologję ścisłą, ale pozatem może mieć dozór nad wszystkiemi zbiorami narodowemi rozmieszczonemi po gmachach publicznych. Wszystko, co nadaje się do uświetnienia, udekorowanie gmachów publicznych reprezentacyjnych, powinno w nich znaleść swoje miejsca; temci bardziej wszystko to, co z jakimś gmachem wiąże się genetycznie, jako wytwór pracy jego instytucji.

Dawne zamki królewskie w Krakowie i Warszawie — to naturalne muzea dzieł sztuki i pamiątek królewskich. Salony w parlamencie powinny mieć swoje zbiory, ministerja swoje, pałac rządowy — również, ą lokale zarządu wojewódzkiego powinny mieć wartość muzeów prowincjonalnych. Wszystkie powinny być dostępne w swoim czasie dla zwiedzających i podnosić w ten sposób urok instytucji, a przedewszystkiem to poczucie, że wyrastają one z łona dziejów, wiążą się z kulturą narodu i tym stosunkiem do życia się charakteryzują. Przedewszystkiem zaś urzędy wykazywać się powinny obrazowo swoją pracą.

Jeżeli zaniedbamy tych prostych wskazań rozsądku i zaczniemy bezmyślnie z Muzeum Narodowego robić skład powszechny dorobku kulturalnego, to zubożymy życie, a z pożytecznej instytucji Muzeum zrobimy monstrum, które kosztownością swoją i bezużytecznością wołać będzie o pomstę do... płacących podatki.

Pamiętać trzeba, że człowiek tworzy rzeczy rozumnie i z talentem na to, żeby żyły. Organizować ten drugi świat, konkurujący z przyrodzonym, aby tworzył całość wszędzie złączoną z życiem, oto zadanie polityki kultury, dla której utrzymujemy departament w ministerjum oświecenia.

Dziwny przytem jest nasz demokratyzm republikański. Według niego b. Zamki Królewskie powinny być zdobione i muzealne, ale pozatem gmachy publiczne mogą być jak stajnie, albo dawne cyrkuły rosyjskie. A to nieprawda.

Rzplita wszędzie powinna przejawiać swój majestat, dlatego właśnie, że jest Rzplitą. Nie chodzi o bogactwa, zwłaszcza o zbytek — Rzplita powinna przejawiać swoją duszę myślącą, wszędzie obecną i kochającą dorobek pracy.

Historyczność nie może być suchą specjalnością samego tylko muzeum, ona powinna dawać tło muzealne wszystkiemu, co dla dziejów się robi w życiu.

NAUKA I LITERATURA

„DRUID" CEZARY JELLENTA

Bardzo przykry to wypadek
Trącić kogo nogą w plecy,
Lecz gdy mi tak popadł w ręce,
To już całkiem się poświęcę.
Powiedz, ojczyzno, *quousque?...*
Boy.

OBOK Wilhelma Feldmana najgłośniejszym pisarzem pewnego autoramentu był swego czasu Napoleon Hirszband, który dosłownie przetłumaczył swe nazwisko na pseudonim: Cezary Jellenta. Pod tym pseudonimem wydał on kilka książek i wygłosił mnóstwo odczytów. Potem przez czas pewien wydawało się, że on sam całkiem o swem piórze i o wymowie zapomniał, ale w latach ostatnich znowu o nim głośno.

Okoliczność ta zmusza nas do wydobycia z lamusa przyprószonych już gruntownie kurzem zapomnienia jego pism z zakresu krytyki literackiej i podjęcia próby scharakteryzowania ich możliwie najbardziej sumiennie, by uniepotrzebnić naszym następcom zajmowanie się tym pisarzem.

W piećdziesiącą rocznicę zgonu Słowackiego wydaje Jellenta o nim książkę, o której powie sam później z właściwą sobie skromnością, iż był to „pierwszy głębiej sięgający wizerunek" tego poety, („Druid J. Słowacki", str. 2), „pierwsza próba dotarcia do twórczej jego psychy".

Jest to impresja („J. Słowacki dzisiaj"), pisana już z całą pogardą dla „doktorów inkwizycji", jak później („Powtórne ścięcie S. Zborowskiego", str. 5) autor nazwie ludzi, fachowo trudniących się literaturą. Już w tym wczesnym płodzie swej działalności pisarskiej

zrywa Jellenta „z neoscholastyczną filisterją cytat i zestawień", i pragnie „stworzyć dla Słowackiego osobny, nowy probierz" (str. 72). Już tu mówi on o sobie, że „potrafi przenikać świetlane przestworza, oślepiającym zorzom patrzeć w oczy, nie obawiać się duchów... i nie klękać przed bałwanem konsekwencji i mądrości życiowej".

Ostatnia z cech występuje u Jellenty najbardziej jaskawo i można wprost rzec, że jest on rzeczywiście konsekwentny w tem urąganiu „konsekwencji i mądrości". Widzimy to np. odrazu w tej pierwszej jego książce.

Oto np. czytamy tam (str. 39), że ludźmi małego serca i kornej wiary, z którymi Słowacki walczy w finale V-ej pieśni „Beniowskiego" byli „bez wątpienia uczniowie Towiańskiego", acz natenczas (wiosna 1841) takich uczniów ani samego Mistrza w Paryżu nie było jeszcze. Podobnie dokładną jest wiadomość, że Słowacki „w Niepoprawnych szkicuje weglem (?) swój portret na wesoło", oraz, że „tam wogóle jest on tylko swawolnym duchem i innych jako duchy traktuje", skąd autor wnioskuje, iż „oczywiście zatem pomysły właściwego cudotwóczego mistycyzmu nie miały dla poety wagi ustalonej, pewnej". Wedle Jellenty ta jedyna komedja Słowackiego (pisana w r. 1841) była odpowiedzią Krasińskiemu na jego ujemne sądy o... Towiańszczyźnie. Iście, gdzie Rzym, a gdzie Krym?

Równie trafne są uwagi Jellenty o rzekomej dowolności Słowackiego w opisie puszczy z „Pana Tadeusza". „Mówi ona (puszcza) hukiem „pękających bomb" i zatraca przez to charakter puszczy odwiecznej, tylko przez myśliwca odwiedzanej" (str. 67).

Nasz pisarz nie wie, czy przynajmniej nie pamięta, że Mickiewicz w XI księdze „Pana Tadusza" mówi właśnie o żubrze, cofającym sie z trwogą przed pękającym granatem. Wedle Jellenty „bomby były Słowackiemu potrzebne ...dla rymu i może dla zwiększenia huku (!), lecz zepsuły naturę i wrażenie kniei".

Kiedyindziej nasz krytyk bawi się w wykazywanie wpływów i rodowodów ideologji Słowackiego i twierdzi z aplombem: „Jeśli czyje większe ziarno przyczyniło się do zapłodnienia Słowackiego — to najpewniej... Hegla" (str. 40), gdy tymczasem wiemy o nawskroś negatywnym stosunku poety do wielkiego idealisty niemieckiego.

Inne zdanie Jellenty, doskonale świadczące o przenikliwości krytycznej autora, brzmi tak: „Rapsodom Króla Ducha brak plastyki, tego ukrywać niepodobna" (stronica 44).

O stylu jego sądzić można np. z takich kwiatków: „(Słowacki) tyle razy zgrzeszył pychą, że się w końcu otoczył majestatem Boga" (str. 46). Albo: „Duch Słowackiego pokonywa odległość i odgaduje bliskość drogich sercu osób, a nieraz wyprzedza rzeczywisty byt na ziemi w ten sposób, że jeszcze w przedistnieniu łączy się przyjaźnią z innemi duszami" (str. 37). Albo: „Jest to metampsychoza w obrębie jednego ustroju zamknięta, przeto (!) o charakterze rozwojowym" (str. 15).

Zawadzając mimochodem o Krasińskiego, Jellenta potrafi powiedzieć o nim, iż „nie stawiał sobie ideałów zbyt pożerających (?), nie rzucał się ku przyszłości zbyt utopijnej. Poezja jego ukrywa w sobie coś ze zdrowej praktyczności Rzymian" (str. 8). Sąd ten ma oczywiście swe źródło w ówczesnej pogardzie Jellenty dla praktyczności. Dziś—*quantum mutatus ab illo*!

W drugiej swej książce o Słowackim, wydanej w lat kilkanaście po pierwszej, Jellenta obszernie i z pasją rozprowadza ideę, zaznaczoną już zresztą poprzednio (str. 33, w wyż omówionej rozprawie) „druidyzmu" Słowackiego. Czytamy więc we wstępie, że „druidyzm jest jedyną słuszną podstawą do zbudowania syntezy i ewolucji poety", że „piśmiennictwo nasze zostawiło mu w tym względzie drogę otwartą", że droga ta będzie polegała na „rozpowiciu z osłon jego (to zn. Słowackiego) zasadniczej istoty harfiarza-zaklinacza-ofiarnika-druida".

W książce swej tłumaczy Jellenta misternie, jak to „Druid stał się bliski Derwidowi, obu zaś połączył zapewne (!) król psalmista Dawid. Druadę czyli druidessę rozmnaża (Słowacki) w ród niklejszy nieco driad. Chociaż driada jest tylko nimfą drzewną, lecz poeta i druadę uważa za rodzaj nimfy; jednej zaś i drugiej chętnie za siostrzycę przeznacza diwę... Do tej rodziny wprowadził i Dianę" (str. 63). Należało może jeszcze wspomnieć o Grabcu, jak wiadomo, także w drzewo przemienionym, a również o Sforce, zastanawiającym się, dlaczego kij ma dwa końce, co pozostaje w ścisłym związku z driadą.

A oto jeszcze parę przykładów z tej książki. Na str. 102 pisze autor o panteizmie, który rzekomo „bije poprostu jak dzwon ze wszystkich słów Juljusza" i konkluduje: „Jeśli chcemy w tej przemianie wieszcza na filozofa mieć wytyczną, dobitną a mocną — roztopmy wszystkie owe kształty wiary, niepewne i chwiejne, w zasadniczym panteizmie". A nieco dalej, rozwijając to własne stanowisko, pisze Jellenta takie dziwactwo: „Gdy nadszedł Chrystus, panteizm wyszlachetniał, stał się prawdziwie duchowym, zespolił się w jedno z istotą Chrystusa" (str. 104). Coś, zapewne, panteizm lub Chrystus musieli ustąpić jeden drugiemu, ale autor tego nie tłumaczy...

Będąc snać wrogiem Jezuitów, Jellenta twierdzi, że Słowacki dostrzegał „rękę Jezuitów nawet w związku towiańczyków" (str. 123), o czem nie wie zresztą nikt z naukowych badaczy Słowackiego. O stanowisku religijnem poety Jellenta wypisuje takie rzeczy: „Dogmat jest dla niego urną, którą dla jej starożytności i zbożnych tradycyj czci, ale którą na inną zawartość przeznacza (?). To samo (?) czyni z Trójcą. Zachowuje dla Niej synowską cześć, ale to więcej jeszcze hołd niż cześć religijna; to pietyzm dla przesławnego, jak druidyczne lub sybillińskie runy, symbolu, na którego glorję złożyły się blaski Pytagorasów, triumwiraty rzymskie, przedwieczna trójca w przyrodzie, odnawiająca się stale w poczęciu człowieka, nieuniknioność trzeciego czynnika — atmosfery — w odbieraniu zwyczajnych wrażeń wzrokowych i słuchowych i cały bezlik wielkich realizacyj zasady troistej" (str. 125). Słowem, groch z kapustą, której to konsystencji stał się dziś Jellenta gorącym zwolennikiem.

Na „Królu-Duchu" używa sobie autor dowoli. „Niemasz" wedle niego, tam „apostolstwa, pokory i męczeństwa", natomiast „poetycki rdzeń eposu jest wiernie druidzki, światowidowy, zaklinawczy. Otaczają nas nie zwiastunowie Ducha, lecz demony polskiej indyjskości" (Tak!) (str. 149).

„Poeta" (wedle Jellenty), „rozbijał nanowo wielkie ciało Polski na elementy i chaos" (str. 190). Nie trzeba tłumaczyć, że pomysł ten jest karykaturalną transpozycją Krasińskiego koncepcji o „odśrodkowej" sile Słowackiego. Skoro autor wpadł na ten „chaos", to aż w sześciu długich okresach rozwija swą tezę, kończąc wreszcie orzeczeniem, że Słowackiego „możnaby nazwać pierwszym wieszczem chaosu" (str. 194).

W rozdziale ostatnim powraca zasadniczy refren druidyzmu. Więc w poezji Słowackiego „Polska występowała zawsze jako rasa harfiarzów — druidów... Nigdzie u Słowackiego nie potykamy się o zasadniczą sprzeczność między kapłaństwem dawnych całopaleń a chrześcijaństwem" (str. 201). Jellencie się zdaje, że skoro poeta nie zaprzecza temu twierdzeniu, to oczywiście się z niem zgadza, to też konkluduje: „Niema więc zasadniczego przeciwieństwa między temi kultami. Dru-

ldzi guślarze dostarczyli owszem, chrześcijanom gotowych form zaklinawczych i świętych. Na tych świątyniach zatknięto poprostu krzyż i oto są kościoły" (Tamże). Poprostu — i oto wszystko!

Jellenta się dziś dziwi („Powtórne ścięcie S. Zborowskiego i innych"), że książkę jego w swoim czasie przemilczano, gdyż podobno „uczonym lwowskim książka była nie na rękę, albowiem czyniła zbytecznemi wiele ich wywodów" (str. 3). Toteż napada na „doktorów inkwizycji", którzy jego książek „nie wpuścili nawet do bibljografji", wyróżniając śród „mistrzów inwentaryzacji i gasicieli" zwłaszcza Kleinera, którego ponoć uważa się „za Tomasza z Akwinu badań nad Słowackim".

Do Słowackiego raz jeszcze wrócił Jellenta w. r. 1924, układając na scenę „Samuela Zborowskiego" i zdradzając absolutne niezrozumienie intencyj poety, przedewszystkiem przez dziwaczne zidentyfikowanie postaci Lucyfera i Adwokata, powtóre zaś przez wręcz bluźniercze przekręcanie tekstu poematu, przez wprowadzanie doń osób nowych, których niema u Słowackiego, wreszcie przez wymyślanie całych scen fantastycznych i zgoła nieuzasadnionych. Dość powiedzieć, że Platon i Chrystus u Jellenty to jedna osoba, że słowa św. Pawła o Chrystusie, jako o „poślednim Adamie", odnosi Jellenta do... Zborowskiego, że wreszcie sam się przyznaje tw komentarzu, że „co do przestawień i przesunięć nie krępował się absolutnie niczem" (str. 131)*).

Rozpatrzywszy się w tych kilku książkach Jelleny, dochodzimy do przekonania, że nie ma on zgoła danych do pracy krytycznej literackiej i najlepiejby zrobił, gdyby się nigdy do niej nie zabierał. Przykład jego raz jeszcze uczy o słuszości słów Władysława Rabskiego, który w swej pracy o satyrach Krzysztofa Opalińskiego, tak pisze:

„Najlepszy dyletant nie sprosta graczowi zawodowemu, gdzie bowiem możliwe są setki posunieć, tam dyletant zgaduje, a fachowiec wie. Pierwszy łudzi się często genjalnością własnych pomysłów. Więc dyletant nie lubi fachowców. On chce się łudzić i nienawidzi ludzi, którzy z nieubłaganą logiką wiedzy zawodowej, a często z bezwzględnością, właściwą autorytetom, przewracają jego figurki na szachownicy".

Wilno. STANISŁAW CYWIŃSKI

*) Por. moją recenzję książki w „Gaz. Warsz.", 1925, Nr. 60.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Tygodnik literacki „Głos Prawdy" pod redakcją J. Kaden-Bandrowskiego od paru tygodni przestał wychodzić.

*

Na konkursie powieściowym firmy wydawniczej „Rój" w Warszawie pierwszą nagrodę (1000 zł.) otrzymała Jadwiga Kiewnarska z Warszawy, drugą (500 zł.) Jan Moriconi z Wileńszczyzny, trzecią L. Ryszkowski (pseud.), czwartą Wład. Jackowski z Torunia.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Gustaw Przychocki, doskonały znawca i wydawca Plauta, Cycerona i Owidjusza, należy u nas do najśmielszych i najczynniejszych obrońców i szermierzy kultury klasycznej; w czasie, gdy wiał u nas duch wrogi klasyczności, w latach 1920—1923, artykuły prof. Przychockiego ogłaszane w „Kurjerze Warszawskim", wskazujące na zgubne skutki „wykulturzania się", zdawały się głosem na puszczy — dziś, gdy przekonano się o prawdzie słów tam zawartych, gdy schamienie świata powojennego wymagać poczęło gwałtownego remedjum, począł się nadzwyczajny wprost nawrót do klasycyzmu w szkole, jako do środka wprowadzającego ład i harmonję zarówno w sposób myślenia, jak i w styl, pojęcia, nawyki i obyczaje nowego pokolenia. Że atmosfera ta była pożądana, świadczy zapał, z jakim młodzież powitała pismo klasycznej kulturze poświęcone p. t. „Filomata". Mniemanie o „nieaktualności" klasycyzmu stało się dziś — nieaktualne. Nie po raz pierwszy znaleziono—teraz znowu—w klasyczności skarbnicę wiedzy, umiejętności i smaku; ostatnia rzecz zwłaszcza była bardzo potrzebna po różnych dadaizmach i futuryzmach. W takiej to chwili aktualną naprawdę się stała mała i popularnie napisana, ale niezwykle ciekawa książka prof. Przychockiego pt. „Kultura klasyczna w kulturze nowoczesnej". W kilku rozdziałach tej książki wykazuje autor, jak bliska jest owa odległa rzekomo starożytność dzisiejszym czasom. Oto widzimy, ile zawdzięcza kulturze klasycznej kultura światowa, a więc i polska, która niejednokrotnie z dumą wskazywała na swój rodowód z kultury klasycznej greckiej i łacińskiej. Takie same filjacje i pokrewieństwa widzimy i w innych dziedzinach kulturalnych, ba, nawet technika dzisiejsza, jak dowodzi prof. Przychocki, nie tak znów bardzo daleko się posunęła od czasów starożytnych, kiedy istniały już centralne ogrzewania, turbiny, różne maszyny, a i coś w rodzaju taksometru, zwanego wówczas hodometrem. Książka napisana żywo, przystępnie, zrozumiała dla młodych i starszych, może — i powinna — liczyć na wielkie powodzenie.

*

Istniejące od r. 1927 w Łodzi Towarzystwo Historyczne zainaugurowało w r. b. działalność wydawniczą, publikując „Rocznik I", zawierający m. i. rozprawę Adama Stebelskiego „Przeszłość administracyjna ziem województwa łódzkiego". Wśród źródeł zwracają uwagę podane przez Z. Lorentza „Trzy raporty Rajmunda Rembielińskiego, prezesa komisji woj. mazowieckiego, z objazdu obwodu łęczyckiego w r. 1820".

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W Rydze zmarł najwybitniejszy poeta i dramaturg łotewski Jan Rainis (Jan Piekszan). Urodzony w r. 1865 za czasów panowania Rosji, po ukończeniu wydziału prawnego w Peterburgu, pracował jako urzędnik w Wilnie. Zesłany do Wiatki przełożył tam „Fausta". Po powrocie na Łotwę wydał zbiór poezyj „Modre echo dalekiego wieczoru". Od 1906 do 1920 przebywał w Szwajcarji. W niepodległej Łotwie zajmował stanowisko ministra i wybrany był na sejm.

*

W Białogrodzie zmarł 31 sierpnia rb. największy poeta współczesny Jugosławji Ivo Wojnowić.

Do dzieł jego należą: Piórem i ołówkiem, Stare gęśle (opowiadanie), Dubrowaczka Trylogja (największe jego dzieło), dramat narodowy Śmierć matki Jugowicza (znany w przekładzie polskim), Cud św. Vlaha. Ostatnie dzieło ma formę misterjum. Skomponował je do spółki z polskim kompozytorem W. L. Rogowskim, który dał muzykę. Misterjum to było wystawione w mieście rodzinnem poety w Dubrowniku (Raguza) w dzień św. Vlaha 7 lutego 1928 r. na rynku. Vojnowić ur. 1857 r. był synem wybitnego działacza chorwackiego. Do r. 1911 pełnił służbę administracyjną. W r. 1914 austrjacy osadzili go w więzieniu. Tam stracił jedno oko i zachorował.

OD WYDAWNICTWA

Czwarty kwartał od 1 października jest pierwszym w sezonie zimowym, na który zaopatrują się wszyscy w czasopisma. Prosimy przyjaciół, aby mocno popierali „Myśl Narodową". Nadsyłający odrazu zł. 17 otrzymywać będą pismo do 1 kwietnia 1930 r. Cena kwartalna wynosi zł. 9.

W tym czasie „Myśl Narodowa" zamieści kilka większych studjów literackich, które są największą ozdobą piśmiennictwa, mianowicie:

Przemysława Mączewskiego „Wyspiański i Wagner".

Jana Gwalberta Pawlikowskiego „Idee polityczne Słowackiego w dobie mesjanizmu".

Zyg. Wasilewskiego „O Norwidzie".

Nadchodzące czasy będą wymagały od sfer oświeconych dużego wysiłku i ożywionej wymiany myśli. „Myśl Narodowa", jako uzupełnienie dziennika będzie niezbędna w każdym domu.

OFENSYWA

NIECO O... REPERTUARZE

BARDZO słusznie Boy-Żeleński zaczyna już coraz ostrzej występowawać przeciw rozwielmożnieniu się na scenach stolicy Polski repertuaru złodziejsko-alfonsoskiego-szantażowo-szantanowego - policyjno-detektywnego-kabaretowo-bandyckiego. Coprawda szlachetną tę krucjatę przeciw ostatecznemu deprawowaniu i gustów i moralności społeczeństwa stołecznego podejmuje w „Kurjerze Porannym" tj. piśmie, które tak samo zbija fortunę na demoralizowaniu i deprawowaniu publiki jak niby owe Teatry, raz po razu wystawiające apoteozy kryminalistów. Wzruszający to motyw, gdy Boy na starsze lata bieleje nam poprostu w oczach i zawdziawszy włosiennicę jako ten nowy Savonarola po sztuce „Koniec pani Cheney" pisze... twardo:

„Złodzieje na scenie, policja pod drzwiami, poetycka apoteoza bandytów, słowem... nic się nie zmieniło: złota serja teatrów Szyfmanowskich wiąże subtelną nicią stryczka jeden sezon z drugim. W jubileuszowym dniu tej złotej serji ułożymy jej bilans i wówczas okaże się bogactwo motywów — mniej lub więcej „kwalifikowanych" — jakie w niej rozwinięto; mimo to nie taimy, że wolelibyśmy widzieć od czasu do czasu na scenie i inne zagadnienia, cieszące lub trapiące ludzkość".

Pisze to atoli w „Kurjerze Porannym", drukującym akurat równocześnie Moryca Dekobry plugawy wylew p. t. „Serenada śmierdzi", do której to „powieści" dodał reklamową podobiznę Moryca, z dopiskiem dla czytelniczek, że Moryc w tym zlewie powieściowym opisuje własne przeżycia, ale że czytelniczki „Poranniaka" chcące coś podobnego jak te *cochonneries* w tekście przeżyć w Warszawie, na miejscu, mogą sobie poradzić inaczej a mianowicie:

„Wypada jednak dodać, że nasze serdeczne związki z Francja — jak i kult dla jakiegoś autora nie wymagają bezpośrednich ofiar. Można przecież „głód wrażeń" zaspokoić z jakimś krajowym autorem. Będzie to i patrjotyczniej i wygodniej. Adresy polskich autorów są do uzyskania w ich Związku — Warszawa, Bracka 5, tel. 60-85".

Dziennik tedy, który zajmuje się tego rodzaju stręczycielstwem (przez W. Rzymowskiego już 20 lat temu napiętnowanem), którego wydawcy łudząco przypominają grupę „działaczy" i wspólników pani Chaney mało ma stosunkowo prawa oburzać się na obecny repertuar Teatrów: Polskiego i Małego. Zamiłowanie do takiego repertuaru jest dzisiaj objawem ogólnoeuropejskim. Nowe warstwy idące z nizin przepadają formalnie za światem kryminalistów. To jest „romantyzm" życia dla tej ostatniej fali demokracji. Włamywacz jest ich Child-Haroldem, Kordjanem, Wertherem, Komisarz policji „czarnym charakterem". Na widowni asystuje takim spektaklom moc ludzi, którzy albo już kwalifikują się do kryminału albo w najbliższej przyszłości. Specjalnie zaś w Warszawie gdzie całe grupy, całe klany, całe szajki wielkich i małych Pochroniów doszły do olbrzymiej potęgi i władztwa, nie można się dziwić, że publiczność widząc wspaniałe karjery jakie apasze porobili w życiu, lubi widzieć ich także na scenie i uczyć się „jak się to robi", „jak się do tego dochodzi", jak się od kryminału można ustrzedz i t. p.

Inna znów sprawa, że tych złodziei i włamywaczy różnego fasonu i kalibru (nawet historycznego) jak w życiu publicznem tak i na scenach polskich stosunkowo jest za wiele. Przedsiębiorcy i *managerzy* teatralni studjują już tylko repertuar amerykański i angielski i zatrzymują wzrok i uwagę tylko na sztukach z bandytami. W tym ich zapale dla typów Lombrososkich zapanowała pewna przesada. Może istotnie tylko w ten sposób da się skutecznie zwalczyć „konkurencja kintopów", ale ostatecznie trzeba jeszcze próbować środków innych. Od czasu do czasu trzeba się też poczuwać do pewnych obowiązków kulturalno-propagandowych i nawet z państwowego stanowiska przydatnych i pożytecznych.

Pod tym względem Teatry Szyfmanowskie zdobyły już sobie wielkie zasługi, grając n. p. autorów italskich i angielskich (Galsworthy, Shaw). Tym razem chcielibyśmy atoli jeszcze raz zwrócić uwagę na autorów scenicznych z narodów innych, mniej potężnych, mniej renomowanych, zaczem i mniej suggestywnie się narzucających.

Mamy tu na myśli naszych pobratymczych sąsiadów, tj. Czechów i Litwinów.

W celu kulturalnego zainteresowania i zbliżenia i należałoby raz koniecznie pomyśleć wreszcie o zaopiekowaniu się sztuką dramatyczną litewską. Litewska twórczość teatralna istnieje i rozwija się coraz piękniej, czy więc nie godziłoby się i u nas z nimi się zapoznać i drogę im doEuropy utorować? Zapewne, że nie możemy tłumaczyć i grać dzieł scenicznych, w których nas Polaków nieco szkalują, jak np. V. K. Mickiewicza: „Skirgiełłę", czy Sawickiego: „Kiejstuta", czy nawet Majzonisa poemat dramatyczny: „Śmierć Kiejstuta", lub tegoż „Witolda u Krzyżaków". Ale są utwory znacznie więcej interesujące, nowocześniejsze, dzisiejsze społeczeństwo litewskie odmalowujące. Czy nie możnaby spróbować n. p. „Mirgę" K. Puidy, Vajczunasa „Patrjotów", „Zemstę" Liudasa Giry, a może pani Cziurlonisowej „Synów Zorzy"?

Z czeskiemi sztukami też jakoś stanęło na martwym punkcie. W ostatnich latach w dwóch polskich stołecznych teatrach wszystkiego dwie tylko czeskie sztuki zagrano słabo, więc i bez sukcesu. Czapkowe „R. U. R." w złej interpretacji źle poszły, jak i Langiera „Peripherie", dwie sztuki, które na kilka języków tłumaczone, znaczne nieraz zyskały powodzenie. W dyrekcjach teatralnych złożony jest cały szereg tłumaczeń utworów, które mają duże walory repertuarowe, a niekiedy i literackie. Jest tedy: Langera: „Wielbłąd w uchu igły", jest Fr. Szramka: „Miesiąc nad rzeką", jest J. Hilberta: „Z drugiego brzegu" i jest wreszcie Czapka: „Afera Makropulos", same asy teatralne, rzeczy niewątpliwie interesujące. Tłumaczy się obecnie: F. X. Swobody: „Ostatni mężczyzna" i V. Dyka: „Poseł". Przedewszystkiem jednak przetłumaczony i w druku wydany leży przed nami „Margraf Gero", świetna sztuka historyczna Alojzego Jiraska, „Sienkiewicza czeskiego", którą wprost wzorowo przyswoiła w umiarkowanie patynowanej staropolszczyźnie p. J. Jarocińska.

Przypominamy dyrekcjom teatralnym już leżące na ich biurkach rękopisy dramatystów czeskich i zwracamy uwagę na twórczość dramatyczną litewską. Konieczne jest odświeżenie repertuaru stołecznego czemś nowem, świeżem, młodem, innem a bliższem. Ciągle tkwić na „Broadway" i duchem Broadwayu żyć duchowo to się jednak wnet sprzykrzy. Apoteozy złodziejstw i złodziejek są czarujące, ale raz należy zdobyć się na coś egzotycznego, dziwacznego, antisanacyjnego, nienowoczesnego, nieaktualnego, to jest na apoteozę uczciwości a może nawet charakteru, a może i bohaterstwa?

Taki np. „Margraf Gero" sztuka... staroświecka, dziejąca się na dobitek jeszcze w X-tym wieku wśród rycerzów germańskich i władyków słowiańskich, grana na dzisiejszej scenie polskiej byłaby czemś zapewne paradoksalnem, może mastodontycznem... ale tylko na pierwszy rzut oka, gdyż szybko wyjawiłaby się a k t u a l n o ś ć właśnie tego utworu dramatycznego czeskiego. Prędzej czy później ten sam konflikt dziejowy powtórzy się po X-ciu wiekach...

Nie byłoż by to mądrze i przewidująco na scenach polskich dopuścić do głosu także sprawy i problematy ważniejsze i doniośleisze od afer uroczych złodziejek, cnotliwych „dziwek", bohaterskich złodziei i sanacyjnych alfonsów?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z powodu śmierci ś. p. Jana Harusewicza szeroko jest komentowany fakt, że działacz polityczny tej miary nie dostrzeżony był za życia przez tych, którzy rozdają oznaki ludziom zasłużonym w sprawie odbudowania Polski. Zaznaczył to w mogpogrzebowej senator Jabłonowski, a zastanawiali się nad tem wszyscy, którzy słuchali przemówień żałobnych i czytali życiorysy zmarłego. Był to właśnie jeden z tej serji ludzi, którzy całe życie oddawali się specjalnie sprawie odrodzenia Polski i w ł a ś n i e d l a t e g o przez rozdawców łask Ojczyzny traktowani są źle. Paradoksy naszych stosunków, regulowanych niewidzialną ręką masonerji, są w dziedzinie orderów tem jaskrawsze, że na czele kapituły *Polonia Restituta* stoi historyk prof. Kochanowski, który przecież chyba wie, jak i dzięki czyim wysiłkom Polska odzyskała niepodległość. Jakąż rękojmię swej uczciwości naukowej daje historyk, rozdający ordery te wszystkim, którzy się odznaczyli w walce z ideą zjednoczenia Polski?

*

Znowu jeden z generałów mianowany został na stanowisko wiceministra pracy i opieki społecznej... W Hadze, w Genewie, na zjazdach socjalistycznych oraz na kongresach masońskich tak bezskutecznie powtarza się nieustannie te same, uroczyste frazesy o pacyfiźmie, a tymczasem—to Polska właśnie pokazuje światu najprostszą drogę praktycznego urzeczywistnienia owego naczelnego ideału—rozbrojenia... Raz po raz któryś z pośród „jedynych twórców naszej armji" (z „pierwszej brygady") odkłada na bok swoje umiłowanie rycerskiego rzemiosła, przekuwa szablę na... kluczyk dyrektora banku, tekę ministra, karto-tekę wojewody albo starosty. Jeszcze podczas ostatniego przesilenia gabinetowego opinja publiczna z wielkiem zainteresowaniem śledziła tak gromadne przenoszenie się pułkowników do zajęć „cywilnych". Doprawdy, nasz delegat przy Lidze Narodów, p. Sokal, nie posiada talentu propagandowego, jeżeli dotąd nie umiał pochwalić się, jak oryginalnie i pięknie Polska dzisiejsza „potrzebuje" realizować u siebie... „wielką ideę rozbrojenia powszechnego".

TREŚĆ: Maski *Z. Wasilewskiego.* — Różnice *St. Strońskiego.* — O rozwiązaniu sprawy żydowskiej w Polsce *I. Kozielewskiego.* — Słońce Prowancji *W. Jabłonowskiego.* — Sentencje i paradoksy *F. Chwaliboga.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Treść i forma *R.*; Niefortunny pomysł muzeologiczny. — Nauka i literatura („Druid" Cezary Jellenta *St. Cywińskiego* i t. d.). — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45, Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM